

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 16. Warszawa, dnia 8 (20) Kwietnia 1876 roku. **Rok 12.**

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu
rocznie . . . . . rs. 6 k. „
półrocznie . . . „ 3 „ „
kwartalnie. . . „ 1 „ 50
miesięcznie. . . „ „ 50

na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie. . . . . rs. 8 k. —
półrocznie. . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie . . . . rs. 2 k. —
w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.
w Galicyi Złr. 11 cent. 50.
w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY I EKSPEDYCYA
PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Społki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

ADMINISTRACYA ROLNA.

Z trzech rodzajów czynności, stanowiących zasadniczy rys działalności rolnika, najważniejszą i zarazem najtrudniejszą jest administracya gospodarstwa wiejskiego. Nie będziemy tu zestawiać tej ostatniej z czynnościami rolnika w polu i między budynkami, dla wykazania, o ile jedna z tych trzech góruje nad innemi, chcemy tylko wykazać, że racyonalna i umiejętna administracya jest podstawą rozwoju rolnictwa i głównym motorem ekonomicznym, poruszającym całą machinę gospodarstwa wiejskiego.

Wszelki kierunek przemysłu, każdy fach, każdy zawód wymaga, mniej różnostronnych wiadomości, mniej wykształcenia ogólno-ekonomicznego aniżeli administracya rolna; tamte są więcej uspecyalizowane, więcej zamknięte w sobie, każda gałęź przemysłu jest oddzielnie pojęta, wnika tylko w swoją istotę, a przez to potęguje swe siły, skupiając ich w jednym punkcie, mając jeden specyalny cel, gdy rolnictwo dla możliwości istnienia swego potrzebuje posiłkować się kilkoma gałęziami przemysłu, jednoczyć się ściśle z niemi, stanowić nawet nierozerwaną całość między wieloma różnorodnemi i rozmaitej natury kierunkami tegoż przemysłu. Administracya więc gospodarstwa wiejskiego jest skomplikowaną machiną, której wszystkie tryby, jak kółka w zegarku regularnie poruszać się winny. Wstrzymanie lub zatamowanie obrotu którego z tych trybów psuje cały porządek i tamuje dalszy regularny bieg całej machiny.

Nieświadoma lub nieoględna administracya powoduje wielkie straty, których potęgowanie się pociąga za sobą ruinę gospodarstwa. Ruina więc jest konsekwencyą nieoględnej lub nieświadomej administracyi.

Całe dziesiątki lat doświadczenia stojące za nami, dowodzą jak ta administracya lekko była przez nas pojmowaną. Cccemy wykazać aczem jest, a czem być powinna, jakie daje rezultaty racyonalnie prowadzona, a do jakiej popycha zguby nieoględna i nieświadoma, gdyż cały dzisiejszy opłakany stan gospodarstwa wiejskiego jest, rzec można, pomnikiem naszego nierządu.

Znam właścicieli ziemskich, ludzi jakoby cywilizowanych i oświeconych, którzy zapisy omłotu i rozchodu zboża uskuteczniają kredą w spichrzu, a zwózkę snopków czyli ilość zwiezionego zboża w stodole; słowem całą rachunkowość i rejestra gospodarcze prowadzą na ścianach budynków swoich.

Zabawny a średniowieczny ten zwyczaj nie może w żaden sposób nie tylko zastąpić rejestrów i rachunkowości gospodarczej, porządnie i regularnie w książkach na to przeznaczonych prowadzonej, ale nawet nie może stanowić jakiejkolwiek kontroli dla gospodarza, z powodu, że nie wszystko zdoła zapisać, wiele rzeczy zapomni i pominie, co zapisze pomieszane jest jak groch z kapustą i nakoniec łatwo się ściera pisane kredą lub węglem. Zresztą tak zacofany system nie wytrzymuje dziś najmniejszej i najsłabszej krytyki, a jest dowodem grubej lekkomyślności. A cóż dopiero powiedzieć o całej działalności ekonomicznej takich administratorów-rolników. Ileż to razy sprzedają zboże na pniu, wełnę na baranie, a nawet słomę, której później zabraknie na paszę i podściołkę dla własnego inwentarza. A procenta lichwiarskie a pożyczki żydowskie, strach ogarnia pomyśleć, jak całe czeredy mało-miasteczkowych Rotszyldów zbogacają się na nieoględności i obskurantyzmie ekonomicznym wielu obywateli naszych, jak wysysają z nich do ostatka dobrobyt, popychając szybkim krokiem do niechybnej ruiny. Najpierw zaczyna się handelek na kilkanaście lub kilkadziesiąt korcy zboża. Małomiasteczkowy kupiec najpierw je zadatkuje, następnie sprzedawszy to zboże, płaci i w dodatku bardzo chętnie zaofiarowywa pożyczkę. Szlachcic na to jak na lato, przyjmuje ją z przyjemnością, wystawia kwit, nie oddaje na termin, dopisują się lichwiarskie procenta, znów dopożycza i znów nie ma czem zapłacić, bo zboże sprzedał już komu innemu, dopisują się znowuż procenta, większe jak poprzednio. Z tego formuje się kapitalik, którego większą połowę a nawet $^2/_3$ stanowią procenciki. Nakoniec, chcąc się już raz odczepić od żyda, odprzedaje mu kawał pięknego lasu. A że potrzeba było wysłać żonę z dziećmi do Ciechocinka lub Szczawnicy, samemu dawno się nie było w Warszawie, a tu leżących pieniędzy nie ma, bo robocizna dużo kosztuje, więc dalej do kochanego nabywcy lasu: „dawaj pieniędzy,“ ten jak najchętniej udziela, ale pod rygorem, że w razie nieuiszczenia na termin wypożyczonej sumy drugi kawałek lasu przejdzie na własność żyda. Pod naciskiem, rozumie się, szlachcic się zgadza i wkrótce cały las idzie

pod siekierę żydowską. Ponieważ właściciel ma gorzelnię i dużo kominów we wsi, więc drzewo w domu i na wsi jak siarka się pali, przytem ogrodzenia żerdziowe i nowa szopa, oraz naprawka budynków starych bardzo wiele drzewa wypotrzebowała z lasu już nie swojego. A że drzewo szło za kwitami dziedzica, więc porządna suma nieznacznie urosła, tu z przerażeniem widzi obywatel, że suma ta wyrównywa prawie kapitałowi, wziętemu za las; zarzeka się, że już więcej żadnych z żydem stosunków mieć nie będzie, ale za drzewo potrzeba zapłacić. Co robić? Jest na wszystko rada, odpowiada przebiegły tępiciel lasów, „jaśnie pan ma okowitkę,“ więc możemy zrobić interes. Okowita wprawdzie była już sprzedaną, ale cóż robić, gdy chętny żydek ofiaruje jeszcze pożyczkę, szlachcic ją bierze, okowitę sprzedaje, a drugiemu za niedotrzymanie terminu dostawy, lichwiarskie dopisuje procenta i tak brnąc z jednego, błota w drugie zaczyna zawadzać o hypotekę. Żydkowie na to tylko czekali, jak szerszenie obsiadają hypotekę, żona na prośby męża daje ewikcyę na swej sumie posagowej. Termina mijają, ani procentu ani kapitału nie ma czem zapłacić, gospodarstwo upada, bo nie ma forsy pieniężnej, ziemia mniej daje jak przedtem, Towarzystwo Kredytowe woła o zapłacenie rat, następuje subhastacya i oto gotowa ruina.

Jest to obrazek wzięty z życia, bez fantazyi, bez kłamstwa, wiernie oddany. Takie fakta napotykają się licznie i wiele im podobnych, których różnorodność i rozmaitość okolicznościowa jest nader obfitą w rozliczne szacherki pejsatych Szmulów, a w jakieś dziwne niedołęztwo i nieradność wielu właścicieli ziemskich. W ogóle straty ponoszone tak z tym podobnych, jak i wielu innych okoliczności, mają swoje głębsze źródło w nieświadomem postępowaniu i nieumiejętności administracyi. Administrator powinien być człowiekiem prawdziwie wykształconym, posiadać gruntowną znajomość rolnictwa, mieć wytrawne pojęcie o przemyśle rolnym, znajomość nauk przyrodzonych, wytrawne pójęcie o ekonomii politycznej i rolnej, znajomość technologii i praktyczne pojęcie o budownictwie, dalej znajomość ras i hodowli inwentarza, nieco weterynaryi, znajomość buchalteryi, umiejętne ocenienie pracy, znajomość do pewnego stopnia procedury prawnej i stosunków ekonomiczno-prawnych, ażeby się niepozwolić dusić pierwszemu lepszemu pieniaczowi i niepopaść samemu nierozważnie w sidła, słowem, posiadać wykształcone pojęcie techniczne i ekonomiczne. Następnie umiejętne obchodzenie się z ludźmi, trafne i oględne ocenienie stosunków z nimi, pewna łatwość w przeprowadzaniu tych stosunków są nader ważnemi przymiotami administratora wiejskiego. Na mniejszym majątku ziemskim administrator tak wykształcony przy pomocy ekonoma i karbowego z łatwością podoła wszystkiemu, tak rolnictwu jak i administracyi. Tam wszędzie sam może być obecnym i przypilnować niejedno łatwiej zdoła. Taki kierownik na mniejszym obszarze ziemi szybko gospodarstwo wiejskie doprowadzi do kultury. Najbardziej w takim razie dźwignie tę kulturę znajomość nauk przyrodzonych i wykształcenie ekonomiczne. Najlepsze mamy dowody, że gdziekolwiek chemik wziął się do rolnictwa, tam w krótkim bardzo czasie postępowe otrzymał rezultaty. Znajomość nauk przyrodzonych dla rolnika jest najpotrzebniejszą. bo daje mu możność robienia rozmaitych możliwych, a wiodących do postępu doświadczeń chemicznych, daje mu jasne pojęcie o roli i o całym procesie chemicznym ziemi, o wegetacyi, o sposobie przetwarzania się pierwiastków ziemnych, o ich rodzajności, o podnoszeniu się kultury ziemnej, o środkach wpływających na to podniesienie; chemia więc rolnicza jest nieodzowną dla samodzielności postępowego rolnika. Ileż to u nas widzieć się daje niespożytych pierwiastków chemicznych, a ile z nich marnuje się; mało kto, rzec można, korzysta z wszelkich możliwych środków namacalnie nastręczających się, a przy niewielkiej znajomości chemii z łatwością spożytkować się dających.

Umiejętny administrator rolnik spożytkuje wszystko, co tylko w gospodarstwie podpadnie mu pod oczy, potrzeba tylko z inteligencyą bez uprzedzeń, bez konserwatyzmu, racyonalnie i postępowo zapatrywać się na rzeczy i takowe z zastanowieniem oceniać. Widziałem w wielu miejscach, jak całe gnojówki obficie napełnione i dobrze przefermentowane marniały nieużytecznie, a gdym zwrócił uwagę, że warto by je spożytkować, rozwożąc w stosownie na wozie przyrządzonej beczce lub w skrzyni, jak to w Poznańskiem ma miejsce, na pola, dla zasilenia koniczyn lub pszenicy, śmiano się z takiej propozycyi, nazywając to *zagranicznemi komedyami*, dla nas na nic się przydać nie mogącemi i dowodząc, że te wszystkie postępowe innowacye *torby sieczki nie warte*; a gdym wspomniał o kompostach, o spożytkowaniu nawozu drobiu, powiedziano również, że te zagraniczne poglądy zakłócają tylko porządek naszego gospodarstwa. W obec takich pojęć, nic dziwnego, że długo jeszcze czekać będziemy, aż racyonalnie pojęty postęp zrozumianym u nas będzie i w ogóle naszym zaaklimatyzuje się stanowczo.

Dotąd za długo kołowaliśmy się w labiryncie konserwatywnych pojęć, mazgajowato i nieświadomie braliśmy się do rzeczy, czas jednak otrząsnąć się z tej konserwatywnej i obskurantyzmem przesiąkniętej pleśni, czas zdrowo spoglądać na rzeczy pamiętając: że innem jest gospodarstwo na dziś, a innem jest kwitnące i pomyślne, które stanowi dobrobyt powszechny. Dla czego w zagranicznych gospodarstwach, każda stopa ziemi procentować musi i procentuje, dla czego tam maleńkie posiadłości dają daleko więcej gospodarzowi korzyści aniżeli nasze duże obszary?... Nie jesteśmy admiratorami zagranicy, ale sprawiedliwość nakazuje nam patrzyć bez uprzedzeń, bez przesądów. Zagraniczne na zachodzie gospodarstwa już dawno pozbyły się konserwatyzmu, a wziąwszy za podstawę naukę stosowaną, kroczą pewnemi nogami racyonalną drogą postępu.

Dla czegóż więc i my umiejętnem i systematycznie przeprowadzonem urządzeniem gospodarstw naszych nie moglibyśmy doprowadzić kultury rolnej do wysokiej produkcyi? Pamiętajmy iż stopień produkcyi zależnym jest od postępu rolnictwa, a postęp ten ma źródło w znajomości gatunku i własności roli, w znajomości środków któremi produkcya coraz wyżej podnoszoną być może i od wprawy i biegłości w trafnem zastosowaniu, czyli użyciu tychże środków, inaczej, od umiejętności i wykonania. Administrator rolnik powinien się trzymać tych trzech zasad i do nich umiejętność swą i doświadczenie, czyli teoryę i praktykę stosować. Ekonomia mając do czynienia z tak pojętą działalnością rolną, będzie znakomitą podporą tej ostatniej.

Administrator rolnik mając wyrobione pojęcie o stronie technicznéj i ekonomicznej gospodarstwa wiejskiego najzupełniej odpowie zadaniu swemu.

Wszelkie projekta i kombinacye dążące ku pomyślnemu obrotowi interesów gospodarstwa, jako oparte na obrachowaniu ze ścisłą matematycznością, o ile takowe zastosowane być może, ziszczą się niewątpliwie. Droga bowiem pozytywna, droga świadomości przy zastosowaniu tezy, iż w usunięciu złego stwarzamy dobro, jest najracyonalniejszą drogą postępu.

W większych gospodarstwach administrator rolnik sam podołać nie jest w stanie, ażeby mógł wszystkiem i wszędzie osobiście się zająć. Wszędzie powinien być głową, a tylko w ważniejszych, wybitniejszych punktach i chwilach, osobiście. Dla tego nieodzowną jest pomoc ludzi uzdolnionych, którzyby wykonywali sumiennie i świadomie wszystkie jego polecenia pamiętając, iż regularne i trafne wykonywanie tych poleceń jest konieczną zasadą obrotowego ruchu całej działalności gospodarczej, a nie stosowanie się do dyspozycyi podkopuje z góry zakreślony porządek obrotowy. Dobór więc ludzi przyjętych do pomocy jest koniecznym, bo na doborze właśnie polega cała harmonja, jaka zachodzić winna pomiędzy poleceniem, a wykonaniem. Dobry administrator zakreśla z góry program działalności gospodarczej na czas całoroczny i kwartalny, z którego potem miesięczną i tygodniową rozwija czynność. Program ten podzielonym będzie na dwa działy czynności: w pierwszym umieścić roboty pilne, niecierpiące zwłoki, w drugim mniej pilnie, które jako dodatek do pierwszych, gdy na to czas i siły pozwolą prowadzone będą, a które w właściwym do swej natury i charakteru czasie przejść muszą do kategoryi robót pilnych, nieodzownych. System ten zasługuje na uwzględnienie z dwóch przyczyn: raz że pozwala czynności drugiej kategoryi czyli mniej pilne powoli przeprowadzać, a tym sposobem w właściwym czasie można mieć niejako ulgę i pewność dokończenia takowych, gdy już część ich się wykonała, powtóre, że w razie przerwy czynności pierwszej kategoryi, skutkiem nieprzewidzianych okoliczności, nie stracimy czasu, bo przygotowujemy na czas przyszły czynności drugiej kategoryi. Rzecz naturalna, iż trafny administrator powinien się starać o ile możności przewidywać rozliczne okoliczności, mogące nastręczyć jakową przerwę w czynnościach gospodarstwa całego, pamiętając, iż każda przerwa rozpoczętych w pewnym kierunku czynności niekorzystnie wpływa na ruch całej machiny gospodarczej.

Goethe powiedział: „powiadają że liczby rządzą światem, to jednak pewnem jest, że one pokazują, jak świat jest rządzonym.“ Otóż my z całą skruchą powiedzieć sobie możemy, iż zawsze przerachowywaliśmy się, bo nie umieliśmy rachować i to było główną przyczyną powodującą zachwianie się dobrobytu naszego. Administracya światła, postępowa i oględna, oparta na dobrym rachunku, na trafnem obliczaniu się z okolicznościami, z zasobami i z możnością własną, popierana chętnie i energicznie, powrócić może pożądany dobrobyt gospodarstwu wiejskiemu, wpłynąć na podniesienie stopnia produkcyi rolnej i rolno-przemysłowej, a stąd wzmocnić usuwający się z pod nóg naszych grunt dobra materyalnego i odwrócić grożącą nam ruinę.

Nawołujemy więc do życia, do pracy światłej i wytrwałej, do pracy zrodzić mającej dobro społeczne. Żądamy energicznej interwencyi od ludzi nauki i czynu, którzy z młodzieńczą krewkością rozwijają swą działalność w pracy około gospodarstwa krajowego, ażeby przykładem swoim wykazując którędy droga i jaki jest cel tej pracy społecznej, pobudzili tym innych do rzetelnego i postępowego rolniczego życia! *F. E.*

NIEWOLNIK.

Szkic powieściowy.

I.

Równina. W około widnokręgu las, pośrodku nad szeroką szybą stawu ciągnie się jednostajna wioska i ginie długim sznurem w oddali, a po drugiej stronie jakby na lepszej ziemi, wznosi się ku górze kępa bujnej roślinności. Z po za rozłożystych lip i topól przegląda obszerny dom murowany i świeci czerwonym dachem, obok mniejszy i niższy wysyłający z szerokiego komina słup dymu nieustanny. Opodal zabudowania gospodarskie, otoczone czworobokiem wysmukłych topól, a w wodzie odbija się zgrabna wieżyczka kaplicy we włoskim stylu, zdobna na froncie olbrzymim herbem, o dziewięciopałkowej koronie. Więc wieś, dwór z całym przyborem? Tak jest—wchodzimy w dobre towarzystwo. Poprzestaję na ogólnych konturach miejscowości, bo wieczór już zapada, więc obrazek nie daje się rozpatrywać w szczegółach. Ciemne masy krajobrazu zaczynają się zlewać z sobą, tonąć w pomroce i ciszy. W pół senne odgłosy milkną, światełka po chatach migocą, z trzech okien dworu bije żywy potok światła. My szukamy dobrego towarzystwa, nie mając ochoty do romantycznych wycieczek pod skrzydłem nocy, wchodzimy tedy do dworu.

Towarzystwo spotykamy w chwili przejścia między kolacyą a herbatą; jest to chwila najstosowniejsza do poznania rodziny — bo gdzie jej szukać jak nie w domowem ognisku? Samowar właśnie szumi na stole, przy nim jak niegdyś przy patryarchalnym ogniu koncentruje się życie domowe. Ta połyskująca machina uwieńczona turbanem z serwety w tumanie pary, ulatującej do koła z przyjaznem mruczeniem, mrugająca u dołu perłami żaru, jakieś rzewne a błogie budzi we mnie uczucia i jak sądzę, ma własność napełniania serc zebranego dokoła siebie grona, pokojem, zgodą i pewnem rozradowaniem ducha. Ileż to uroczych obrazków można ugrupować przy herbacianym stole! Tym razem przecie muszę pohamować swe idyliczne popędy. Towarzystwo które tu zastaliśmy, jest bardzo dobrem towarzystwem, ale do idylicznego obrazka się nie nadaje.

Pani domu, jest osobą białą. Pominąwszy już jej biały negliżyk, białą twarz, ręce i szyję, jasne włosy, jakaś dziwna białość duszy promienieje z całej jej postaci, rzekłbyś białą aureolą prześwieca przez delikatne jej rysy. Zatopiona w fotelu patrzy w światło mglistemi, blado niebieskiemi oczyma. Po prawej stronie, odsunięty od stołu siedzi jej mąż, personat w całem znaczeniu tego wyrazu. Wszystko w nim tchnie tężyzną połączoną z samozadowoleniem głębokiem. Aksamitna kurtka pokrywa gors okazały, lakierowane długie buty skrzypią miarowo na kołyszącej się od niechcenia nodze. Twarz dorodna świeci zdrowiem i spokojem duszy, śmiejącym się z pod czarnego wąsa. To pan domu. Obok niego siedzi mężczyzna, któremu ładnie z łysiną i strzępiastą brodą. Wydaje się być starszym od pierwszego, choć jest jego młodszym bratem, twarz ma kościstszą i bardziej wyrazistą, poukładaną w systematyczne fałdy z których każda, wraz z dowcipnemi oczkami uśmiecha się dobrocią. Twarz to sympatyczna mimo odcień dobrodusznej ironii, a w tych szarych oczkach jest coś, co ci powiada że człowiek ten, nie czyni nikomu nic złego, a choćby uczynił to nie ze złego serca — i poszkodowany nie powinien stąd żadnej do niego mieć urazy. Sposób palenia papierosa nadaje mu pozór wolnomyślności i swobody, właściwej człowiekowi co się nie troszczy o przyczyny i skutki, gdy tymczasem dymek pochodzący z cygara jego brata, rozlewający się, przeciskający zwolna przez gęstwinę wąsów, falujący miękko a potem chwytany zręcznie znów w płuca i wyrzucany silnym prądem ku górze, ma w sobie coś kokieteryjnego, jak połączenie elegancyi z nieograniczoną pewnością siebie.

— Więc teraz kolej na bratki? — odezwał się pan domu do siedzącej naprzeciw młodej kobiety, pulchnej z zaczesanemi wysoko czarnemi włosami i rumianą twarzą. Osoba ta dmuchała na jakiś napar, a kapryśna jej minka może wywołana była nieposłuszeństwem jej własnych usteczek, które niechcąc przyjmować kształtu dziobka, rozchodziły się w uśmiechu ku dołkom w buziakach.

— Czy poprzednie *remedium* niedostatecznie skutkuje? — kończył pan domu zasłaniając przymrużone oczki delikatną firanką dymu.

— Ślicznie! Bardzo pięknie, z chorych żartować sobie! Zamiast mnie zachęcić do ratowania zdrowia, panowie jeszcze żartują sobie! Bardzo ładnie!

— O panno Tyno! Proszę mię przynajmniej nie obarczać takim wyrzutem, zawołał Bonek (młodszy brat pana domu). Oto mię pani ma ślepo wierzącego we wszystkie straszne niebezpieczeństwa zagrażające jej zdrowiu. Powiedz pani tylko słówko, a przebiegać będę pola, lasy i bagna aby wynaleść ziółko co by ją uleczyć mogło! Cóż to, pani się gniewa, panno Tyno?

— Jużem panu sto razy mówiła, że się nie nazywam Tyna!...

— Ach mój Boże! E-glan-ty-na! Czyż pani ma sumienie żądać odemnie takiej pracy, wymawiania tylu sylab. I to co minuta, co sekunda!..

— Co minuta, co sekunda?!

— Niekoniecznie ustami i głośno, zaśmiał się gospodarz domu. Pojmuje przecież pani co Bonek chciał przez to powiedzieć.

— Mój brat miewa chwile zdumiewającej domyślności, rzekł Bonek z komiczną powagą.

Po za siedzącymi u stołu zaczęła się przesuwać osoba płci żeńskiej; roznosiła herbatę, podsuwała przekąski.

— Tereniu, więcej wody do mojej bawarki, wyszeptała pani domu złamanym głosem.

— Czy to nie ma już białego araczku? szepnął Bonek. Żeby tak bryndzy, panno Tereso, dodał krając chleb i pokrywając go starannie warstwą masła.

Rozmowa ucichła na chwilę pod wpływem wyraźnego niezadowolenia pani Skarzyckiej.

Mąż jej pociągnąwszy kilka razy gorącego płynu, odkrząknął gromko.

— Ale, ale! Dobrze żem sobie przypomniał. Stosując się do przyjętej umowy, mam honor uprzedzić moję panią, że pojutrze będziemy mieli zbiorowe polowanie na kaczki. Słowa te z ukłonem zwrócone były do pani Skarzyckiej.

— Jak chcesz mój drogi, odrzekła z rezygnacyą.

— Na kaczki pojedziemy! Na łódkach! poderwała Eglantyna klaszcząc w dłonie. Jak to dobrze. I my pojedziemy, nieprawdaż?

— Owszem, może pani z Izią podziwiać pudła pana Zygmunta. On to właśnie, głównie głosował za polowaniem z łodzi...

— Właśnie że z panem Zygmuntem nie pojedziemy! Nieznośny pan...

— Panno Tyno! Pani swoję osobę mojej opiece powierzy. Wyrzeknę się najpiękniejszych *krzyżówek* czuwając nad jej bezpieczeństwem, rzekł z galanteryą Bonek i przysunął ku sobie talerz z obwarzaneczkami.

— Mnieby się zdawało, słabym głosem odezwała się p. Skarzycka, że dla Izi wyprawa taka będzie niewłaściwą.

— Ciekawym co tu niewłaściwego? Agitacya, ruch, dla takiej jak ona flegmatyczki, to rzecz bardzo pożądana...

— Jak uważasz mój mężu. Mnieby się tylko zdawało...

— I któż będzie? Teofil, Wacio? Któż więcej? podniósł głos Bonek. Zaczęło się wyliczanie myśliwych i psów.

Na tę chwilę, z cicha otwarły się drzwi i wszedł duchowny, wysmukły, z twarzą pełną słodyczy i spokoju. Zamieniwszy ukłon przystąpił do stołu i zajął miejsce obok pani domu. Tu szesnastoletni może chłopiec i młodsza od niego panienka zbliżyli się dla ucało-

wania ręki ks. kapelana. Niespostrzegliśmy ich dotąd równie jak ukrytego w cieniu samowara, jegomości jakiegoś w okularach, który teraz wychylił się dla złożenia ukłonu. Jest nim pedagog kierownik chłopca, a panienka jest uczennicą p. Eglantyny.

Ks. Inocenty pogładził z dobrocią dziecinne główki.

— Czemuż tak późno? spytała pani domu.

— Za spóźnienie przepraszam stokrotnie, odrzekł duchowny. Zaczytałem się w nowem dziełku, nadesłanem mi dzisiaj, i czas zbiegł niepostrzeżenie. Jest to broszura prawie, objętość książki niewielka, ale treść jej bogata, tchnie niebiańską świeżością myśli. Czytając tę pracę człowiek cieszy się że żarliwość obrońców kościoła wzmaga się w miarę postępów bezbożności.

— Jakiż tytuł, jaka treść tej książki, z błogim uśmiechem pytała p. Skarzycka, ożywiając się coraz widoczniej.

— Tytuł jest jakby okrzykiem natchnienia: „Łączmy się!“ a treść, wyrażając się językiem światowym, jest projektem stowarzyszania się wiernych, bractwa zjednoczonego wspólnością dążeń pobożnych, napisana językiem pełnym rozrzewniającej i porywającej prostoty.

P. Skarzycki rozpoczął miarowe skrzypienie lakierowanych butów, zajęty wypuszczaniem ku górze cienkiego strumienia dymu. Bonek z niewzruszoną niczem powagą dolewał to śmietanki to araku do swojej herbaty i otaczał się coraz nowemi połączeniami surogatów pożywienia, od czasu do czasu rzucając pełne skruchy spojrzenia w oczy p. Eglantyny, która znów zaczęła walkę z usteczkami swemi, rozbiegającemi się uparcie ku dołkom w buziakach. Tymczasem rozmowa między panią Skarzycką a ks. Inocentym podnosiła się do entuzyazmu połączonego ze skromnością.

— Dajmy początek w naszej okolicy, zawołała p. Skarzycka. Ja z dziećmi przystępuję do bractwa, ks. Inocenty użyje swego wpływu na okolicę, wspólnemi siłami postarajmy się utworzyć kółko, a takich niewątpię znajdzie się wiele. O nie wątpię. Będą wzrastać, będą rozszerzać się! Któż przewidzieć zdoła jak wielkie dzieło powstać może z tak słabych środków.

— Słabych? odrzekł ks. Inocenty. To są środki potężniejsze niż zdawać się może ludziom tego świata. Obyśmy tylko wiele takich dusz znaleźli!

Ks. kapelan powiódł łagodnym wzrokiem po zgromadzeniu. Nie wiem czy jasno przedstawia się czytelnikom spojrzenie takie, pełne anielstwa i rzewności, i ten uśmiech niewyczerpanej cierpliwości, w jaki tryumfalnie stroi się niekiedy twarz tego, kto chce okazać ile nieba mieści się w jego duszy, zmuszonej przestawać z ludźmi nieznającymi pociech lepszego świata. Ks. Inocenty miał ten uśmiech i to spojrzenie.

Gospodarz domu wkrótce pożegnał towarzystwo. Kazał przywołać rządcę do swego gabinetu, użalił się przed Bonkiem nad chorobą konia kupionego niedawno na jarmarku i wyszedł oddawszy ogólne dobranoc.

Gdy się oddalił, przerwana na chwilę pobożna rozmowa swobodniej toczyć się zaczęła. Rozwijano plany, radowano się owocami posiewu przyszłej pracy. Eglantyna potakiwała wszystkiemu, obłudnie niestety, a Bonek z pod oka patrzał i uśmiechał się dobrodusznie, bębniąc palcami po stole. Milczał długo, nareszcie gdy zwrócono żarliwą przemowę do dzieci, aby im wystawić całą piękność dzieła ku któremu mają być użyte — sprzykrzył sobie bierną rolę neutralnego świadka, mrugnął na Eglantynę i rzekł:

— Co do mnie, uważam podobne wszelkie bractwa i nabożeństwa za zbyteczne wymysły.

Tak jest, mówił ożywiając się i rozweselając prawie, w miarę padających nań spojrzeń pełnych oburzenia i litości. Tak jest, jeżeli mamy wspólną wiarę, to na cóż nam te wszystkie egzaltacye, czułostki? Podług mnie to ubliża raczej prawdziwej wierze niż ją podnosi....

— A podług mnie, nie jest to ani czas ani miejsce do podnoszenia takich kwestyj, wycedziła zwolna p. Skarzycka. Do nawracania nie czuję w sobie dość siły, a *pan* zapewne jest zbyt sumiennym, aby propagować pośród... (skinienie w stronę małoletnich słuchaczów), aby propagować — ateizm.

— Pani bratowo! rzucamy zarzut nieuzasadniony! zawołał Bonek szeroko otwierając oczy.

— Znane są pańskie przekonania. Każdy za siebie odpowiada, ale pamięta pan zapewne jeszcze słowa: „ktokolwiek zgorszy jednego z tych“....

— Za pozwoleniem! Otóż kwestya rozpada się na dwa pytania, przy zupełnem pominięciu pierwotnego mojego założenia, mówił Bonek uśmiechając się swobodnie. Dwa przedstawiają się nam pytania: czy przekonania moje są przewrotne w istocie — i czy żywię intencyę rozsiewania ich? Co do pierwszego....

— Uwalniamy od tłómaczenia.

— Proszę o chwileczkę cierpliwości, nalegał Bonek z uśmiechem lekkiej ironii kryjącym się w kątach oczu. Najprzód, udowodnić mogę z łatwością iż, *primo*: spowiadam się...

— Przestańmy, cierpko przerwała pani domu i wzniesioną twarzą z przymglonemi oczyma zwróciła się w stronę kapelana.

Protestował coś jeszcze Bonek ze skromną minką, ale on już dla pani Skarzyckiej nie istniał. Wkrótce podniósłszy się dała hasło do zamknięcia posiedzenia, którego sprawozdanie podajemy. Towarzystwo rozeszło się w części, został tylko Bonek który swą rozmową zatrzymał jeszcze Eglantynę wraz z nieodstępną jej uczennicą.

— Nie dobry pan, jaki złośliwy! Żeby też tak dokuczać pani! mówiła Eglantyna, grożąc mu na nosku. Ale uważał pan! Na pojutrze umyślnie wymyśliła to nabożeństwo, dodała ciszej, założyłabym się że umyślnie, aby zrobić na złość mężowi im....

— I komu?...

— I mnie.

Wahanie się z zestawieniem tych wyrazów: mąż i ja — dla nas przeszłoby niepostrzeżenie, ale Bonek z zadowoleniem uśmiechnął się po swojemu.

— Ale bez wątpienia i nie tylko pani, ale nam wszystkim. „Wy grzeszycie polowaniem, ja za was pokutuję i modlić się będę.“ Niech ma tę pociechę. Ale pani przecie nie da się zwerbować do pułku kochanej bratuniowej?

— Co robić, muszę. Dobranoc panu. Iza *venez!* zawołała nauczycielka zręcznie zawinąwszy suknią.

— Przyjemnych marzeń! posłał za nią Bonek z ukłonem, do jakiego już teraźniejsza młodzież nie zdolna. Nie wydalił się jeszcze z pokoju. Skontrolował jeszcze swój zegarek z wielkim zegarem szafiastym, uciął gawędkę z rządcą wracającym z pokoju brata, wypił wódki kieliszek, wypalił papierosa, zegar nakręcił, pannę Teresę zaczepił i rozbroił gniew jej srogi dowcipkiem, aż wreszcie poszedł sobie, wytargowawszy od tej ostatniej, świeże obwarzanki do jutrzejszej kawy.

Uczyniwszy czytelnika świadkiem domowego kółka w Sękowickim dworze, nie mam już prawa do powieściopisarskiej licencyi, bo domyślniejszy czytelnik powstrzymał by swą uwagą konsekwentną, zapędy mojej fantazyi. Nie martwi to mnie jednak, bo ścisłość prawdy cenię nadewszystko.

Przenikliwszy czytelnik nie potrzebuje już zapewne szerokich omówień moich o charakterze osób któreśmy dopiero co widzieli. Czuje on już np. że p. Skarzycki nie należy do tych obywateli, którym do życia wystarcza drzemka po sytnym obiedzie, gawęda ze Szmulem, towarzystwo proboszcza preferansisty i sąsiadów, znających się na latach chodowanego w piwnicy winka. Wielu zaopiniuje że obywatelowi temu potrzebne są szumniejsze zebrania, lepsze towarzystwo okolicy, kilka sfor gończych i chartów, wierzchowe konie i poczciwy lancuś—że p. Skarzycki potrzebuje niekiedy wyjazdu do stolicy na parę tygodni i innych zabaw w lepszym stylu. Tak jest w rzeczy samej, muszę tylko dodać jeszcze, że światowość p. Skarzyckiego ograniczyła by się na kilku jarmarcznych uroczystościach, kilku polowaniach z naganką i dorocznych fetach familijnych, gdyby się był nie skoligacił z wielką rodziną hr. Zdurskich. Dostojeństwo to dało mu zagustować w świecie *na sposób angielski*. Ożenek tak zaszczytny olśnił jego domorosłą naturę, i pojęcia jego obywatelskie do wyższej podniósł sfery. A przecież p. Skarzycki do tyla niewdzięcznym się okazał dla źródła swej świetności, iż w głos lekceważył sobie zaszczyty które jego żona w dom mu wniosła, twierdząc: iż dobry szlachcic w niczem nie jest niższy od hrabiego, jeśli tylko zechce być panem. Gniewał się gdy go tytułowano hrabią, a żonie swej hrabinie z Zdurskich zamaszyście przycięć nieraz potrafił. To też szlachecka natura jego nieokreśloną została w gruncie, bo niech kto mówi co chce — nie każdemu dano jest być panem. — O nie!

Hrabina z Zdurskich nieszczęśliwą została z nim istotą i nieraz przed Bogiem gorzkie czyniła sobie wyrzuty za swój *mezalians* nieszczęsny. Ona, kobieta delikatna jak kwiatek paryzki, przy boku *tego człowieka* blakła, zwijała się, traciła swą barwę subtelną, więdła i obwinęła się wreszcie całkiem w tęsknotę do lepszego świata.

Bujny arbuz—szlachcic zagłuszył delikatną

lobelię hrabiankę. Pan Skarzycki rozrósł się swobodnie, rozciągnął się szeroko i wygodnie. Dobrze mu było wygrzewać się na ciepłem słoneczku życia, pić niebieską rosę obficie i bezpiecznie zaokrąglać swe członki, ale hrabianka odcięta od świata w którym żyć była stworzona, zawiedziona w szczytnych nadziejach filgranowego serduszka, zapoznana, nieszczęśliwa — utonęła w menancholii do połowy, drugą połową zamieszkała w niebiosach. Cóż ma czynić szlachetna niewolnica przykuta do zwycięzkiego rydwanu? Cóż ma czynić biedny anioł strącony? Hrabianka owinęła się w białą szatę poświęcenia, słabością swą i męczenniczą koroną, jako bronią zaczepno-odporną zasłoniła się od ludzi, i cała ku nadziemskim zwróciła się stronom.

— „Życie — to sen, mówiła, sen przykry jak tułactwo omackiem po bezdrożach; śmierć dopiero rozwiąże cielesne więzy i swobodną białą duszyczkę wypuści w krainę światła.“

Pojmujecie zapewne o najmilsi, że takiej istocie niewiele pozostaje do czynienia na tym tu ziemskim padole. Jej prawa odnoszą się do innej ojczyzny, a jej królestwo nie z tego świata. Tu na ziemi ma ona swą ciernistą ścieżkę, która ją wiedzie do lepszej krainy. Ona postępuje po niej ze wzniesioną źrenicą, ma kaplicę własną z herbem na froncie....

Dzieci! Ach gdybyż im mogła pożyczyć swych skrzydeł! Niestety duch ziemski owionął je, obciążył ich dusze ołowiem. Serce ich śpi, nie spłynął na ich głowy promień łaski!..

Nie czujemy się na siłach przedstawiać całą piękność duszy pani Skarzyckiej. Jednostronność mi zagraża, a przecież niepowinniście sądzić iż aniołem była. I anioł nawet żyjąc na tym szkaradnym świecie, nabrałby siły odporu, cóż dopiero kobieta strącona z wyżyny. Wspomniałem już że p. Skarzycka umiała używać swej odporno-zaczepnej broni, czego wcale za złe brać jej nie można. Doskonałość bez samo zachowawczej siły nie byłaby doskonałością. Broń jej była koląca i potężna choć niewinna. Ani się człowiek spodziewa jak straszną bywa niekiedy pokora, poddanie się i nieziemski nastrój duszy, jak kłującym jest dla otoczenia cierniowy wieniec ofiary.

Jeszcze jedno dopełnienie. Duch nie może utrzymywać się ciągle na skrzydłach w czystem przestworzu; po długiem krążeniu i wzbijaniu się musi spoczywać. Gdzież usiądzie jeśli nie na nizinach ziemskiego padołu? a usiadłszy musi przypatrywać się marnościom tego świata. Cóż dziwnego że i pani Skarzycka spoglądała na nie niekiedy? A ludzie za to przyganiali jej zajmowanie się zakulisowemi sprawami życia! Czemuż ją niemi otoczono, czemuż nie starają się udoskonalić jak ona?

II.

Ktoby chciał nauczyć się tajemnicy żyć łatwo i przyjemnie, powinien zapoznać się z Bonkiem, czyli p. Bonawenturą Skarzyckim. Oto jest człowiek co nigdy nie miał i nie będzie sobie miał nic do wyrzucenia, gdyż umiał tak puścić swą barkę żywota z biegiem wody i wiatru, tak ominąć wszelkie skały i mielizny, jak gdyby nią najbieglejszy sternik kierował. Czy myślicie że wynalazł jaką zawiłą formułę życia, jakiś klucz filozoficzny do szczęścia?

Bynajmniej, wziął sobie tylko za dewizę: „O wątpliwe się nie kuś, trudnego nie pragnij; a głowy sobie nie skłopoczesz.“

Bonek nie miał nigdy przeciwności, ani nieprzyjaciół, nie znał ani walki ani pracy, żył pełen swobody, niezależny; żartował sobie zawsze ze świata i jego zabiegów, a żartował szczerze choć po cichu.

Wątpię czy się kiedy uczył czego — bo trudno mi wystawić sobie Bonka zajmującego się czemkolwiek, a przecież wiedział dużo i umiał zająć sobą całe towarzystwo. Miał mnóstwo wiadomości i równie gładko gawędził o strategice, geologii, fabrykacyi kolorowych płócienek i smażeniu konfitur.

Nie był nigdy niczem, bo być nie chciał, żadnych nie miał obowiązków bo żadnych by nie wziął na siebie. Nikomu nic dobrego nie zrobił, a przecie lubiano go powszechnie i nazywano złotym człowiekiem, okazywał się ufającym jak dziecię, nie troszczącym się o nic, wierzył wszystkiemu co bądź mu kto powiedział, a przecie nigdy nie doznał zawodu. Bonek nigdy nie rozbił się o twardą logikę faktów, obrończą ręką wychodził z każdej złej sprawy, nie rozumiał co znaczy: boleść, żal, niepewność, brak, zgryzota — a całą tajemnicą jego był szczęśliwy charakter, kapitalik i trochę tak zwanej filozofii praktycznej, z którą już chyba się urodził.

Po ojcu, który go kochał jak najsympatyczniejszego z próżniaków, otrzymał wioseczkę. Wioseczka naówczas była synekurą, ale mniejsza o to — sprzedał ją zaraz. Sprzedał przyjacielowi, bez targu, ot tak jak przyjacielowi (podobno sprzedał wybornie). Sprzedawszy postanowił użyć sobie świata, co się doń uśmiechał całą buzią. Stosunków miał mnóstwo, przyjaciół mnóstwo i to jakich. Sama śmietanka towarzystwa! Nie sprawdziła się na nim bajeczka o przyjaciołach i zajączku. Zajączek tak leciuchno dosiadł grzbietu swoich przyjaciół, iż ci nie czuli go wcale — owszem, kochali serdeczniej jeszcze.

W latach swej szumnej wiosny obleciał Bonek całą Europę, zaznał przez lat kilka rozkoszy wszystkich celniejszych stolic świata i o cudo — ledwie cząstkę swych pieniążków stracił, a strata owa zjednała mu tylko dozgonną wdzięczność tych, których kosztem bawił się przez lat kilka. Zbankrutowani panicze nie mogli już wprawdzie wywdzięczyć się Bonkowi za rozrzewniające przykłady jego bezinteresowności, ale opinię jego dobrego serca szeroko rozniešli po świecie. Doszedłszy trzydziestki, Bonek po cichu przeliczył swe grosze i rzekł sobie: „basta — trzeba się ustatkować i żyć jak Bóg przykazał.“ Nie myślał on o założeniu węgielnego kamienia pod domowe ognisko. Bonek nie na próżno miał filozoficzne zdolności i odkrył sposób zrywania róż bez kłócia się ich kolcami. Przejrzał najprzód hipoteki swych bliższych krewnych (a miał ich sporo) i puścił się w podróż wzdłuż i w poprzek kraju z kapitalikiem swym na piersiach, poprzedzony nabytą w świecie sławą. Jak go witano, jak przyjmowano wszędzie, ile łez i garncy wina wylano przy tej sposobności, próżno by opisywać, dość mieć na pamięci że kuzynek miał szczególną miłość ludzką, a przytem na piersiach talizman. Ściskany, całowany i zatrzymywany wszędzie siłą uczuć bratnich, żeglował Bonek coś dwa lata po morzu serdeczności. Wszędzie budził nadzieję że osiądzie umieściwszy swą sumkę okrągłą, która okazywała się wszędzie bardzo potrzebną, ale wybór był trudny. Trzeba było jak najdogodniejsze obrać gniazdo, nieobrażając serc otwartych do koła: „Ten temu swat, ten temu brat“...

W kordyalności Bonka znalazła się i na to rada, nie zraził nikogo i uszczęśliwił dom wybrańca, umieszczając u niego swe przenośne penaty i kapitalik na pierwszym numerze hypoteki. Urządził się tu, aby go nic nie gniotło, aby we wszystkiem czuć wygodę i swobodę; królował na wieczorkach, dowodził na polowaniach, celebrował na jarmarkach, ściskany, admirowany, kochany aż trzeszczały kości. Po paru latach gdy chmurka jakaś pokazała się na horyzoncie domowego pożycia, gdy zaczynały kiełkować komeraże, intryżki... *sine ira et studio* zwijał swój obóz, i wśród zobopólnego rozrzewnienia przenosił się na nowe koczowisko. Tak kołysany z lekka falą losu przypłynął nareszcie p. Bonawenrura do Sękowic i jak widać zaklimatyzował się już tu na zawsze, bo nawet ciągłe nieporozumienia z bratową nie zrażały go, owszem zdawały się go bawić.

— Bonku złoty, Bonku rybeńko! zaprasza ten i ów z krewniaków, będzie ci u nas jak w raju!

— Nie, moi drodzy — dusza by rada, alem się już zakorzenił. Starzeje się człowiek, przywiązuje się do miejsca — zły znak.

Z południa już było gdy Bonek w świeżo odprasowanym letnim garniturze, zeszedł po stopniach wiodących do ogrodu. Postawa jego w zupełnej zgodzie była ze świeżą zielonością drzew i krzewów, z barwami i zapachem róż i jaśminów, z całem państwem flory oddychającem pełnemi kielichami kwiatów ku pogodnemu niebu. Bonek pełen był wiosennej swobody; znać było że w pełni odczuwał rozkosz strumienia aromatycznego powietrza przepływającego przez nozdrza i płuca. Usiadł w cieniu przedwiecznych lip, aby czas jakiś po epikurejsku oddał się przyjemności woni i chłodu; po chwili dopiero dobył elegancki przyrząd i z precyzyą zaczął nakładać fajeczkę. Błękitnawy dymek po chwili zaczął się mieszać z przeczystem powietrzem. Oblicze Bonka tchnęło zadowoleniem z życia, wdzięcznością dla szemrzącego listkami wietrzyka, pobłażaniem dla drobnych ptasząt toczących ważne sprawy w krzewinach.

Bez żadnego wyrzutu dla siebie, świata i ludzi, Bonek patrzał na różnobarwny kłąb kwiatowy, a czuł przy tem budzący się apetyt i to go właśnie radowało że pora obiadowa nie zastanie go nieprzygotowanym.

Wśród takiego nastroju ducha szczęśliwy człowiek ujrzał p. Korzyckiego, pedagoga, z Karolkiem, wchodzących do ogrodu przez furtkę. P. Korzycki kroczył jak człowiek wiernie spełniający obowiązek swój, Karolek w zupełności przedstawiał objekt nad którym spełnia się obowiązek. Był to chłopiec

blady, wysmukły jak na swój wiek za drobny (liczył około lat szesnastu). Ruch jego był bez życia, twarzyczka utrzymana w jednej mierze sarkastycznego grymasu; przyjrzawszy się bliżej można było w jego chodzie dojrzeć odcień złośliwego naśladowania poważnych kroków mentora.

— Dzień dobry panu profesorowi, zawołał Bonek, gdy ten ze swym elewem defilował przed nim, kierując się w głąb' ogrodu.

— Dzień dobry, dzień dobry, odpowiedział pedagog z pewną zalotnością, udając że niby dopiero spostrzegł Bonka.

— Prosimy na fajeczkę, prosimy bardzo!

P. Korzycki zrobił gest oceniający taki dowód grzeczności i zbliżył się. Niepostrzeganie Bonka było w panu nauczycielu dowodem *delikatności*, niechcącej korzystać z codziennej jego *uprzejmości*, a trochę niezgrabne ruchy pedagoga miały świadczyć, że ją uważa zawsze za miłą siurpryzę nie zaś za obowiązkową daninę.

— Cóż tam słychać profesorze? Proszę wszystek tytoń wsypać. Cóż to nie wystarcza?.. O szkoda! (Zwykle zawartość kapciuszka niegospodarza zaledwie do połowy wypełniała bezmierną objętość stambułki byłego rewizora tabacznego).

— Jakże? smakuje? Cóż, zapaszek jest?

— Jest ci on panie dobry, jest niby, odparł zapytany z miną człowieka obowiązanego do ukrycia stron ujemnych będącego w mowie przedmiotu. Ono to pachnie... ale! Tu pochylił głowę na ramię i brwi podniósł z uśmiechem. Nie jest to to, co nasze dawne, naturalne, austryackie! Bo to panie dobrodzieju—o! to trzeba czuć różnicę, to się wypowiedzieć nie daje. Dziś nie ma już tych gatunków; macerowane to wszystko, saletrowane, a drogie!...

— Zawsze toż samo! szepnął Karol w ucho stryjowi.

— Jaki też gatunek z teraźniejszych tytoniów uważa pan profesor za najlepszy, odezwał się Bonek. d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w c z y n i e.

XVI.

Mija tedy czas jajka wielkanocnego. Ileż to myśli nasuwa ten jeden maleńki wyraz, ten jeden kawałeczek produkcyi kurzej, którym się tak skwapliwie dzieli ludek boży podczas świąt wielkanocnych. Ileż to przy takiej podziałce wysypie się życzeń, jaki ogrom serdeczności, jaka potęga miłości chrześciańskiej...

Ho, ho, ho, miły czytelniku — ani ja, ani ty nie jesteśmy w stanie ogarnąć tego dokładnie myślą, ująć w jakąkolwiek oznaczoną ilość. Powiem tylko, że niewiadoma ta, gdyby była istotnie szczerą i choć w dziesiątej części sprawdzić się mogła, przedstawiałaby taki ogrom siły, taką potęgę, że góry rozwalać, wody w bystrych nurtach wstrzymywać, rozhukane bałwany ugłaskać by nią można — a ludzie mieliby w duszyczce wesoło i raj ziemski u siebie. Ale cóż począć, kiedy maleńkiej tylko rzeczy brak nam — a tą jest prawda i urzeczywistnienie — ach! coby to było, coby to było!...

A jednak ten zwyczajowy symbol podziałki miłością bratnią przypomnieć nam powinien drogę naśladowania tego, który pierwszy, przyodziawszy ją w białą szatę chrześcianizmu, uszczęśliwić chciał ludzkość. Ten bóg-człowiek, który przyszedł do nas by męką swą odkupić świat, miłością chrześciańską drgnąć w harmonie dusz, a przebaczeniem ufundować pomnik zgodzie; ten wielki apostoł wiary chrześciańskiej, do którego się modlimy i na cześć którego obchodzimy pamiątkę Wielkiejnocy, ten powiadamy wskazał nam drogę naśladowania w wędrówce moralnego życia. Gdybyśmy więc wszyscy istotnie jak należy obchodzić chcieli tę pamiątkę, to niebylibyśmy ubodzy ani w prawdę, ani w raj na ziemi.

Co on gada, co on gada... zapyta jeden; dajże mi pokój z twemi morałami, zawoła drugi, to widać niedoszły laik, zawoła trzeci!.. i t. d., i t. d. A cóż ja na to?

Ha cóż... *przepraszam.*

* * *

Lekarze, ach przepraszam, doktorzy, cieszą się, a i aptekarze się cieszą... Co to, co to? zapytują ciekawie jedni i drudzy, co ty mówisz, gdzie i z czego cieszyć się mamy?

Powiem wam na ucho. Skończyły się święta Wielkanocne, przed tem ludziska pościli, suszyli, ale tylko żołądkiem, a nie językiem i złą wolą; teraz zaś objedli się prawdziwie po świątecznemu, wypili sobie także i dobrze nawet, bo jakże tu nie pić przy takiej obfitości zimnego wyłącznie jadła, jeszcze w święta!.......

— No i cóż?

— A cóż, chorują teraz...

— A to ci nam nowinę powiedział. — Mój kochany bredzisz jak stary...

A to dla czego?

— Bo to są rzeczy stare jak świat, co rok się powtarzają w jednakowym stopniu i co rok sprowadzają jedne i też same u nas skutki.

A gdzieindziej, naprzykład u sąsiadów, lub dalej jeszcze to nie?

— A nie...

I dla czegóż to tam nie, a u nas tak?

— Dziwne pytanie... Bo u nas...

Aha...

* * *

Muszę się podzielić z wami czytelnicy dobrą nowiną.

— A to jaką?

Taką, że będziemy już mogli spokojnie i bezpiecznie jeździć kolejami żelaznemi.

— Czy być może?

Tak, tak...

— Ale czy i Warszawsko-wiedeńską także?

Tak jest, a nawet i bydgoską.

— E... żartujesz...

No, niech mnie djabli wezmą, jeśli nieprawda...

— Więc jakimże to sposobem taka raptowna zmiana nastąpi?

Otóż powiem krótko, wynaleziono aparat, za pomocą którego w przeciągu czterdziestu sekund można dwa razy zatrzymać pociąg kuryerski, w największym biegu pędzący i to tylko za przyciśnięciem jednego, jedynego guziczka. Tym więc sposobem będzie można łatwo uniknąć spotkania się pociągów.

— A czy to już na pewno tak?

Zupełnie na pewno, ponieważ było już kilka prób w Niemczech i najpomyślniej wszystko się udało.

— I któż to wynalazł ten aparat?

Anglik.

— To pewno zaraz zastosują ten aparat do wszystkich pociągów za granicą?

A tak, zaraz...

— A u nas kiedy to będzie?

Ach prawda, u nas..... a... tego to już nie wiem.

— Aha...

* * *

W Berlinie sporządzić mają album złodziejskie dla ułatwienia policyi w wykryciu tożsamości przestępców. Dużo bowiem tych ptaszków zmienia nazwiska, przybierając natomiast inne, co właśnie utrudnia bardzo wykrycie ich. Nazwisko można zmienić, ale oczów i nosa trochę byłoby za trudno. Album to ma się składać z fotogramów sławniejszych oszustów, tak stolicznych jak i prowincyonalnych.

Wartoby i u nas urządzić takie pamiątkowe album, któreby oprócz złodziei obejmowało i wszystkich oszustów, praktykujących w najróżnorodniejszych kierunkach, nie pomijając nawet lichwiarzy i szulerów, którzy bardzo wdzięcznie kwalifikują się do tak miłego grona. Podobne album pamiątkowe miałoby u nas wielki pokup i przydałoby się na coś. Panowie fotografiści, możecie zrobić dobry interes!

JULIUSZ CEZAR

I JEGO DZIEŁO.

przez

W. Z.

tłómaczenie z rossyjskiego.

(dalszy ciąg).

Zrujnowani arystokraci szukali podpory w demagogu Maryuszu; z Katyliną spiskowali przeciwko organizacyi i przedstawicielom swojej kasty to jest senatowi, później obrażali swojego przewodnika Cycerona. Takim zdrajcą swojej kasty był i Juliusz Cezar. Mówią, że Sulla okazał dziwną przenikliwość przepowiadając los Cezara tym, którzy go prosili w czasie proskrypcyi o uwolnienie Juliusza. „Dobrze, niech będzie jak sami chcecie, ale strzeżcie się tego pędziwiatra;“ później zaś kiedy Pompejusz i inni po raz drugi prosili o miłosierdzie nad zbiegłym do Azyi Cezarem, dyktator wyraził się jeszcze jaśniej: „Wiedzcie, że ten za którym prosicie, z czasem zgubi arystokracyę, której my bronimy, albowiem w nim siedzi niejeden Maryusz.“ Cezar miał wtedy 21 lat, jednak dał już się poznać, zyskawszy przychylność demagogów Maryusza i Cynny, przechwalając się kuzynostwem

z plebejem Maryuszem; rozwiedzeniem się z pierwszą żoną, ażeby ożenić się z córką Cynny, przez co dowiódł, że gotów jest wyrzec się stosunków i pojęć arystokratycznych a właściwie już wtedy przekonał Cynnę, że nie miał żadnych przekonań a po prostu szukał gdzie mu lepiej. Przytem wszystkiem był rozpustnik i utracyusz. Sulla więc miał racyą ostrzegać o nim jako o człowieku gotowym od najmłodszych lat przed niczem się nie cofać. Środki któremi Cezar torował sobie drogę do karyery, przedstawiają mięszaninę podłości z bezwstydem awanturnika. Zmuszony przez Sullę do ucieczki z Italii, rozmaitemi ustępstwami zyskał przychylność króla Nikomena; po powrocie do Rzymu szukał stosunków z ludem przed którym wychwalał się ze swojego kuzynostwa z Maryuszem, jednocześnie zaś wyjeżdżał i z drugą połową swego rodowodu, to jest: pochodzeniem od bogini Wenery i króla Ancusa Marcia; naturalnie tylko w celu zwrócenia na siebie uwagi, bo wtedy jeszcze do głowy mu nie przychodziło, ażeby w imię tej tajemnej genealogii sięgać po tron. Zrujnowany do szczętu, wyprosił sobie dobre miejsce w Hiszpanii, na którem obłowiwszy się grosza powrócił do Rzymu i ożenił się z daleką kuzynką Pompejusza, będącego wtedy na szczycie wielkości.

Wybrany na edyla, urządzał rozmaite komedye, chcąc przypomnieć ludowi o Maryuszu, eksploatując wyobrażenie, które z czasem wyrobiło się o tym obrońcy ludu jak o narodowym bohaterze.

Wszystkie te próby wykazują takież same mizerne i godne pogardy sposobiki, to jest: uczone orły, szare kapoty, socyalne książeczki i t. p. jakiemi posługiwał się w naszych oczach drugi demagog-Cezar.

Długi wprawiały go w ciągły stan głodnego wilka, gotowego rzucić się na oślep, albowiem nowy stopień wznoszący go wyżej, był jedynem zbawieniem dla niego. Tak np. kiedy postawił swą kandydaturę na Pontifexa, wychodząc na wybory rzekł do matki: „Powrócę jako Pontifex, albo jako skazaniec.“ Nie gardząc żadnym talentem, umiał wykazać zdolność i do hypokryzyi.

W czasie procesu spólników Katyliny, Cezar w duszy gorąco trzymał się po stronie obwinionych. Nie mógł przewidzieć, że kiedyś będzie przez 8 lat prokonsulem Gallii, zbierze olbrzymią armię i przy jej pomocy zdobędzie Rzym, nie mógł przewidzieć błędów swoich przeciwników, które dopomogły mu do pochwycenia władzy; ale za to mógł przypuszczać, że kiedyś, może za chwilę, może będzie sam zmuszonym urządzić coś w tym samym guście co Katylina. Po cichu więc trzymał z rozpustną bandą Katylinowców. Wypowiedzieć jednak tego nie mógł, w obec panującego w opinii publicznej oburzenia przeciw zbrodniarzom. Kiedy więc senatorowie wyrzekali wyrok śmierci, wyraził się z szalbierstwem przypominającem daleko późniejszą epokę, więcej już wyrobioną w politycznych krętaninach, że kara śmierci podług niego, jest zbyt lekką karą za podobną zbrodnię, i że dla większego przykładu należałoby przed śmiercią obić winnych rózgami, chociaż lex Porcia sprzeciwia się temu, ale że za podobne występki zamiast kary śmierci prawo naznacza tylko wygnanie; więc jeżeli pomijamy prawo na głównym punkcie, tembardziej i co do tak podrzędnej jak rózgi rzeczy, pominąć go także można. Trzeba przyznać, że coś podobnego, takie zabieganie naprzód, powtórzyło się dopiero za naszych czasów. Kiedy Piotr Bonaparte, zamordował Noira, gazeta Emila de Girardin, organ ministeryum sprawiedliwości, chcąc uprzedzić opinię publiczną, zgorszoną stronniczym wyrokiem jaki wydały sądy na zbrodniarza, pierwsza pospieszyła uwiadomić o przywilejach mu nadanych, rozpoczynając ogłoszenie od rozumowania, że poprzedni areszt surowy i sekwestrowanie przestępcy jest barbarzyństwem, moralnemi torturami, że w liczbie wielkich i postępowych idei pierwszej rewolucyi, jest także i projekt zniesienia tego barbarzyństwa, że ministeryum ma zamiar i pod tym względem zastosować się do wielkich tradycyi 89 roku, że więc zapewne, w krótkim czasie wydane będzie prawo o zmianę aresztu przedwstępnego, po ukończeniu zaś rezonowania, jakby na potwierdzenie jego, donosi, że księciu Piotrowi pozwolono przyjmować gości i pozostawiono zupełną wolność działania.

Sprobujcie teraz zrobić jaką uwagę. Girardin powie, że widocznie jesteście wrogami wielkich tradycyi 89 roku, zwolennikami tortur i t. d.

Tak samo i Cezar, wyskoczył naprzód i stanąwszy na gruncie prawnym, na którym widział się tem pewnejszym, że nie miał do czynienia z ludźmi *sans foi, ni loi*, jakim był sam; ale z przedstawicielami prawa, z rzymskiemi legitymistami zachowawczemi i potrzeba było złączonych wysileń takiego mówcy jak Cyceron, takiego bohatera jak Kato, ażeby zwalczyć podobny manewr. Jastrzębim wzrokiem śledząc wszystko co działo się w mętnej wodzie walki społecznej i co obiecywało mu karmę, Cezar przenikliwie zrozumiał to położenie w jakim znalazł się Pompejusz w skutek swych zachcianek władzy, nie pozbawionych jednak szlachetności. Jeżeli sam Pompejusz nie umiał wyeksploatować dla siebie korzyści jakie dawały sława, wyjątkowe stanowisko w rzeczypospolitej, talenta i stosunki, jednak z wszystkiego tego mógł skorzystać człowiek nie mający za sobą nic, jeżeliby tylko potrafił zmusić Pompejusza do wyciągnięcia dla niego kasztanów z pieca. Pompejusz zaś po nieudanej próbie pogodzenia się z arystokracyą był w takiem położeniu, że mógł się zdecydować na tę nieprzyjemną operacyę. Staczając się ze szczytu wielkości musiał pochwycić każdego, który mu dawał jakąkolwiek nadzieję utrzymania się na straconej wysokości. Co prawda Cezar był nie zbyt silnym sojusznikiem, albowiem oprócz nie wielkiej popularności, którą nadawało mu pokrewieństwo z Maryuszem i oprócz szalonego rezykowania się na wszystko, nic nie miał za sobą, sam jednak to dobrze rozumiejąc zaproponował Pompejuszowi przyjęcie do związku Krassusa, ażeby zyskać materyalną siłę, do której się jeszcze dotijał Cezar, a którą już utracił Pompejusz. Związek z Krassusem, tym rzymskim Rotszyldem, nadawał sprzymierzeńcom potęgę materyalną. Wyrażenie to wzięte z innego ekonomicznego świata, o tyle tylko da się tu zastosować, że w rzymskiem społeczeństwie Krassus przedstawiał tę siłę bogactwa, jaką dziś widzimy w Europie skupioną w rękach tego króla żydowskiego. Majątek Krassusa był zebrany nie przez grę giełdową, ale daleko brudniejszym środkiem: przez eksploatowanie nieszczęść rodaków. Za czasów Sulli Krassus był szpiegiem i służył do kompletowania list proskrypcyjnych, ażeby potem nabywać za tanie pieniądze majątki swoich ofiar; skorzystał także z częstych pożarów w Rzymie, ażeby urządzić spekulacyę w rodzaju ubezpieczenia, albowiem w chwili pożaru zjawiał się u właścicieli zagrożonych domów i skupywał je za bezcen; trudnił się lichwą niesłychanych rozmiarów; jednemu Cezarowi w chwili kiedy ten dostał zyskowne miejsce w Hiszpanii pożyczył 830 talentów (około miliona rubli); wykształcał w różnych rzemiosłach niewolników, następnie zaś wynajmował ich za wysoką cenę. Tym sposobem całe obszary ziemi w Italii przeszły w jego ręce, był właścicielem połowy domów w Rzymie i wierzycielem całej prawie arystokracyi.

Wszystko jest najlepszym dowodem głębokiej dezorganizacyi społeczeństwa rzymskiego i konieczności radykalnych reform. Bardzo to zły znak dla narodu jeżeli subiekt podobny Krassusowi, którego cały talent ograniczał się do chciwości i braku sumienia, ma możność na brudnych drogach zdobyć niezmierne bogactwa i za ich pomocą trzymać w zależności od siebie ogół; ale złe to można było poprawić, bo nie jest ono jeszcze tak fatalnym objawem, ażeby rozpaczać o wpływie dobroczynnej reformy socyalnej. Wszakże Europy nikt nie uważa za straconą, chociaż w niej każde prawie wielkie miasto ma swojego Krassusa.

Władając skarbami, Krassus chciał odegrać jakąkolwiek rolę polityczną, jednak okazało się, że zdolności jego tylko do lichwy były skierowane, skutkiem czego—upominaniem się o długi, mógł porządnie dokuczyć przedstawicielom najznaczniejszych rodzin rzymskich; ale żeby zapanować nad arystokracyą, ażeby obok niej stanąć z siłą polityczną, na to za mało jest mieć tylko masę rewersów i kwitów.

Krassus jednak nie mając sam zdolności odpowiednich, chciał je kupić na swoje usługi, tacy bowiem zdziercy myślą, że za grosze wszystko nabyć można; sądził, że zarobi na spółce swoich kapitałów z talentami Pompejusza i Cezara, dla tego też pożyczył im pieniędzy, w procencie od których sprzymierzeńcy mieli mu dać znaczenie i potęgę polityczną.

Tak więc powstał tryumwirat. Był to spisek trzech awanturników przeciwko porządkowi panującemu. Chociaż tryumwirowie ukrywali się z działaniem wspólnem, czynności ich wkrótce wydały spisek, który pomimo tego, że Pompejusz i Krassus nie mieli jeszcze ułożonego planu zgubienia rzeczypospolitej, już był strasznym dla państwa.

Rozumniejsi z współczesnych doskonale pojmowali niebezpieczeństwo. Cycero nazywał spiskowych „dynastami,“ wykazując tem, że zrozumiał o co idzie trymwirom; Katon otwarcie oskarżał konspiracyę i nazywał ją klęską dla państwa.

Varron ośmieszał tryumwirat w dziele „Trzygłowy potwór.“

Senat w strachu przed potworem, zgodził się na środek przeciwko któremu zawsze występował, to jest na każdomiesięczne wydawanie zboża; filantropijny ten dowcip przypomina działania współczesnej nam burżuaryi, której zawsze się zdaje, że za grosz nakupi złotówek i lada czem zastąpi ogólną i radykalną reformę.

Nie możemy nawet zgodzić się z Ramée, co do tego, żeby zaprowadzenie pierwsze tryumwiratu już miało być zgubą dla rzeczypospolitej. Był to spisek niebezpieczny i zbrodniczy, najważniejszy z środków, za pomocą których Cezar następnie dobił się uzurpacyi, ale dając każdemu z tryumwirów potęgę, nie mógł się zamienić w despotyzm chociażby dla tego, że dwóch i to ważniejszych spiskowych nie chcieli wywołać przewrotu w państwie, a Cezar nie śmiał nawet marzyć o tem.

Tryumwirowie w krótkim bardzo czasie potrafili przekonać ludzi podejrzliwych, że cele ich były właściwie tylko celikami do prywaty skierowanemi.

Pompejusz starał się tylko o zaratyfikowanie swoich czynności w Azyi. Cezar dobijał się konsulatu, w czem dopomagał mu Pompejusz w tej nadziei, że łatwiej mu będzie uzyskać ratyfikacyą jeżeli Cezar będzie konsulem.

Arystokracya jednomyślnie powstała przeciw tej kandydaturze, ale wszystkie jej usiłowania potrafiły doprowadzić tylko do tego, że kandydat jej Bibullus został także wybrany. Zepsuta przez nadużycia które stanowiły część jej przywilejów, straciła siłę moralną i nie mogła stawić oporu przeciwnikom, tembardziej, że jako rząd była bezsilna, a jako stronnictwo rozdzielona osobistemi egoistycznemi celami. Bezsilność jej wykazała się najlepiej w osobie urzędowego przedstawiciela Bibullusa, konsulat 694 r. nie nazywano konsulatem Cezara i Bibullusa, ale konsulatem Juliusza i Cezara. Braku zdolności i upadku moralnego dowiedli jej wodzowie z których Cycero i Katon ustąpili zupełnie z placu, nie wiedząc co mają robić, trzeci zaś Lukullus ugiął karku przed spiskowemi, lękając się sprawdzenia rachunków z czasu prokonsulatu, Zresztą jeżeli Lukullus był łapownikiem, a Cycero samochwałem, to jednak pomiędzy arystokratami byli ludzie z energią i cnotami, jak Katon. Pomimo tego arystokracya jeżeli nie chciała popełnić samobójstwa, była zmuszoną do bezczynności, albowiem w niej jako kaście, w jej przywilejach ugruntowanych na nędzy i ciemności milionów, leżało główne złe, które usunąć należało. Czyż jednak kasta może sama na siebie rękę podnosić? Wielu z tych w chwili kiedy się rzecz agitowała, zahulanych i rozpiłych arystokratów, później zabijali się sami, ażeby nie przeżyć „wolności,“ było to jednak osobiste bohaterstwo i bezowocne.

Ludzie ci byli wychowywani w pojęciach o bezwzględnej wyższości od mas, w legalnem przekonaniu o świętości praw swoich, doszli więc z czasem do tego stopnia zaślepienia, że dobro kraju i dobro swoje uważali za jedno i toż samo, a nieszczęścia cudze zasłaniał przed ich oczami własny dobrobyt. Z prawnego punktu widzenia zapatrując się przypisywali upadek losowi, ludowi, pojedyńczym parweniuszom, ale nigdy swej pasożytnej egzystencyi na koszt innych.

Według nich szlachetni obrońcy ludu przeciw zdzierstwu arystokracyi byli takiemi wrogami ojczyzny, jak awanturnicy, którzy chcieli jej wydrzeć władzę nad krajem i zabić wolność i rzeczpospolitę. Najlepsi więc nawet z patrycyuszów nie byli w możności wyleczyć ran, które toczyły społeczeństwo rzymskie.

Przeciw tej fatalnej bezsilności stronnictwa prawa, taktyka uzurpatorów dążących do władzy zależy na tem, że starannie utrzymując chaotyczny zamęt w społeczności, który pozwala im lepiej się obławiać w tej zmąconej wodzie, jednocześnie odgrywają rolę obrońców ludu. Gruntownych reform lękają się tak dobrze jak i zachowawcy, bo gdyby reformy przeprowadzono, straciliby wszelką racyę bytu i środki do bezprawnego wzniesienia się.

Korzystają więc z zaślepienia zwolenników istniejącej legalności, ażeby w drugorzędnych kwestyach stawać obok nich w lepszem świetle, i taktyka tego rodzaju, zawsze na pewno udaje się. Tak było i w Rzymie.

d. c. n.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Vernex, 12 kwietnia 1876 r.

Mocno się oszukałem licząc na lepszą pogodę nad brzegami Lemanu, niż w Szwajcaryi północnej. Cały marzec przeszedł przy nieustannych deszczach, śniegu, przy nieznośnym wietrze, zwanym tu *la bise* i dopiéro od kilku dni mamy piękną pogodę. To też staram się wynagrodzić siebie za długie zamknięcie w czterech ścianach i cały dzień włóczę się po górach tutejszych, lub przesiaduję do późnej nocy w łódce. Jest bo na co popatrzeć; brzeg jeziora od Vevey na wschód do Villeneuvne i z południowej strony do Bouveret słusznie zaliczają do najpiękniejszych miejsc na kuli ziemskiej. Zakątek ten ze wszystkich prawie stron oddzielony od reszty świata górami i jeziorem, zwykle ma klimat bardzo łagodny, o wiele różniący się od Genewskiego, pomimo że tylko długość jeziora oddziela go od Genewy. Długo nie wierzyłem, żeby te kolory delikatne, różowobłękitne, jakie widzimy na obrazach, przedstawiających widoki tutejsze, były rzeczywiste i tylko tu, przyglądając się z łódki jak słońce powoli spuszcza się do jeziora i tonie w niem, przekonałem się, że to nie wymysł, a cudna rzeczywistość. Przy takiem oświetleniu wszystko — wysokie pasma gór, ubielone z wierzchu śniegiem, winnice pokrywające podnóża gór, pałace i chaty pastusze, jezioro — wszystko wydaje się jednym pięknym obrazem olbrzymich kształtów, utworem wybujałej fantazyi rozmarzonego artysty.

Jedno miejsce szczególnie oczarowało mię; zbliżając się jeziorem do Chillnu, o kilka staj od zamku wzrok napotyka niby jar potężny, ciągnący się z wierzchołka gór do samego jeziora; tu widać doskonale posępny zamek Chillonu, znany całemu światu ze słów Byrona, dalej białe domki Villeneuve, potężny ząb południa (dent du Midi) górujący po nad Alpami walijskiemi, Alpy sabaudzkie których łańcuch sięga do Monblanu, potém linja jeziora na horyzoncie i pasmo Alp Waatlandu, bliżej widok Montreux, Glionu i po nad samym jarem szczyt garbu wielbląda (chameau), wyglądający z po za gór — niezrównany widok. Płynę trochę dalej w stronę Villeneuve i oto malutka wysepka, na której rosną trzy drzewka, można przywiązać łódkę i wypocząć. O tej wysepce podanie głosi, że przed wielu a wielu laty wysiedli na nią narzeczony ze swoją lubą, wszczęła się burza, łódkę oderwała i uniosła na falach; odważny młodzian rzucił się do wody, chcąc ją zatrzymać, ale nie zdołał ani łódki uchwycić, ani też wrócić do wysepki i utonął, wołając na pomoc swoją towarzyszkę. Biedna dziewczyna całą noc spędziła na wysepce, pod wrażeniem ostatnich krzyków tonącego, przy jęku burzy, wśród rozhukanego żywiołu, i dopiero nazajutrz znaleźli ją rodzice, ale już była waryatką. Na pamiątkę tego okropnego wypadku rodzice obojga posadzili tu kilka drzew, z których zostały trzy obecnie rosnące. Kilka innych miejsc mają tu też swoje smutne historye i widok Chillonu wystającego z ciemnych przepaści wodnych, z zamurowanemi otworami przez które ongi wyrzucano nieszczęśliwe ofiary, z więzieniem Boniwara, usposabia wierzyć dosłownie temu co głoszą legendy, mniej przerażające wyobraźnią niż widok tego potworu, co wysunął głowę z otchłani i przez kilka wieków (zamek Caillonu zbudowany w XIII wieku i był własnością książąt Sabaudzkich, obecnie własność kantonu de Vaud) pożerał różnych biedaków, ofiary książęcej dumy i chciwości.

Jak się człek rozmarzy, to doprawdy niechce się wierzyć, żeby i ten kątek, tak piękny i cichy był miejscem zwykłej walki, jaką toczyła i toczy zarozumiałość wyzyskujących ciemnotę, niedołężność i niczem niewyrugowaną pokorę ludzką. Ale dość o tém, przejdźmy lepiej z jeziora i jego pamiątek na uśmiechający się zielonością brzeg i ruszajmy w górę, gdzie widać dziki wąwóz, poczynający się od ostatnich domków Montreux z szumnym na dnie potokiem, wpadającym w jezioro. Jest to jedno z najpiękniejszych tu miejsc w gorach. W ciągłych zakrętach podejmuje się coraz wyżej ta olbrzymia rozpadlina, która też uformowała się, jak można sądzić, przez rozpęknięcie się poprzeczne góry i potok górny, zrywający kamienie i unoszący je na dół robi ją coraz bardziej głęboką. Z dwu stron wznoszą się olbrzymie skały gdzieniegdzie pokryte krzakami, i na znacznej nad potokiem wysokości wije się wązka ścieżka, przez wątłe mostki drewniane przebiegająca z jednej strony na drugą. W połowie prawie drogi wysoka pionowo wzniesiona w poprzek wąwozu skała formuje w potoku śliczny wodospad, i te dzikie po większej części nagie skały po obu stronach wąwozu, zmrok jaki tu panuje, szum spadającej wody i powietrze chłodnawe, wilgotne robią silne wra-

żenie piękna przejmującego umysł strachem i podziwieniem. Przykro tu być jednemu.

Po dobrej godzinie drogi widok się rozwesela i miejscowość przybiera postać sielankową: na znacznej wysokości widać łąki, pastwiska, domki pastusze, kawałki ogrodów i skręcając na prawo od wąwozu ścieżka prowadzi do małej mieściny, gdzie pension Glion, zajmuje pierwsze miejsce. Jest to ulubione siedlisko anglików, wszędzie i zawsze ekscentrycznych, uciekających od ludzi i bitych traktów. Widok stąd na jezioro, dolinę Rony i okolice prześliczny. Niezła droga prowadzi na dół napowrót do Montreux. To ostatnie łącznie z Vernex stanowią jedną całość zamieszkałą przez cudzoziemców, przyjeżdżających tu z różnych końców świata nudzić się, leczyć się w tutejszym łagodnym klimacie, czasem wychowywać dzieci, lub oszczędnie a modnie wyczekiwać nim finanse pozwolą znowu otworzyć salon w jednej ze stolic europejskich. To też nie ma tu domu, gdzieby nie było tak zwanego tu pensyonu lub hotelu. Jeden dzieciak trafnie zauważył swojej matce, że tu nie ma domów, a tylko hotele i pensyony. Klassy towarzyskie dzielą się: na jedną składającą się z cudzoziemców—panów i drugą z usługujących im w ten lub inny sposób krajowców. Ludzi tu nie ma, tylko panowie i słudzy. Sztuka obsługiwania i urządzenia wygódek domowych doszła też do wysokiego stopnia. Znać, że wieki całe dźwigały naprzód ten rodzaj kultury, bo najmniejszy gracik, sprzęt domowy noszą na sobie ślady ścisłego zastosowania, głębokiego obmyślenia, jednem słowem piętno idei wygód domowych. Przy tak wygodnem urządzeniu, jakie tu wszędzie się napotka, trzeba przyznać, że ceny na wszystko to są wcale nie drogie. Zwykle się płaci za pomieszkanie z pełnem utrzymaniem, 5 fr. dziennie, choć można znaleźć i taniej. Ja, naprzykład, dostałem śliczniutki pokoik ze wszelkiemi wygodami, o dwu oknach skierowanych na jezioro i góry Sabaudzkie, nie wysoko, bo na drugiem piętrze, z obsługą i stołem, za 3½ fr. dziennie, t. j. za 1 rubla. Mówią, że w Warszawie ceny są w ogóle nie drogie i mogłyby być takiemi przy stosunkowej taniości mięsa, chleba, opału etc., a doprawdy nigdzie tam nie dostać śniadania, obiadu z czterech lub pięciu potraw, smaczno a zdrowo przyrządzonych wieczerzy, pokoju tak wygodnie urządzonego, obsługi regularnej i grzecznej za jednego rubla dziennie; a mięso, tu kosztuje 30 kop. funt, chleb 7½ kop., drzewo 48 rs. sążeń i t. d.

Nic więc dziwnego, że zbiera się tu ogromna ilość cudzoziemców; kiedy przy taniem i wygodnem życiu, można jeszcze i zdrowie poprawić. Szczególnie w jesieni, kiedy winogrona dojrzewają, zbiera się tu bardzo liczne towarzystwo dla leczenia się winnemi gronami. Przyjeżdża tu też wielu amatorów silnych wrażeń, co przesiadują częściej w Saxon, sławnym ze swej rulety, niż na brzegach jeziora. Szczególnie w tym roku jest ich wielu, bo ruletę mają od Nowego Roku zamknąć. Trudno powiedzieć co powodowało drugie kantony starać się o zamknięcie rulety i pozbawienie kantonu Wallis rocznego dochodu 100 tysięcy franków, chyba że zazdrość; bo intelligencya tutejsza patrzy tak spokojnie na rozwój tylu gałęzi przemysłu bezużytecznego, nieracyonalnego, ruleta tak mało obchodziła klassę pracującą, że chyba jak mówię, zazdrość lub też oderwane prawidła moralne były tu bodźcem. Będąc konsekwentnym, trzeba by też starać się o zamknięcie giełdy, która różni się tem tylko od innych domów gry, że tam gra idzie o miliony, a nie o tysiące.

Przy stanie teraźniejszych stosunków handlowych, gdzie najczęściej traf rządzi samowładnie, przy konkurencyi nieograniczonej, przy najzupełniejszem rozbiciu się interesów towarzyskich warto by, słowo daję oblec całą tę grę w formę najprostszą i otworzyć jak można więcej różnych casino, sal srebrnych i t. p. domów, gdzie idzie spór o lepsze między bogatymi, lub mającymi chętkę być takimi.

Czytając w dziennikach tutejszych długie obwieszczenia wychwalające źródła mineralne w Saxon, źródła których jak mi się zdaje, jeszcze nikt nigdy nie używał; hotele bardziej wygodne i tanie niż w Baden-Baden i Homburgu, okolice piękniejsze niż w Monaco, uśmiałem się serdecznie, widząc jak biedacy nie mają odwagi przyznać się wprost że u nich ruleta, a nie żadne wody i muszą ostrożnie napomykać, używając magicznych imion Monaco, Homburg, Baden-Baden etc.

Nigdy nie widziałem jeszcze rulety i ciekawość mię brała zobaczyć jak też ona wygląda, otoczona gronem roznamiętnionych twarzy, pałających oczu, trzęsących się rąk? W piękny dzień słoneczny wsiadłem na kolej żelazną i przez dwie godziny jazdy, miałem najpiękniejsze widoki i dolina Rony ujęta z obu stron pomiędzy olbrzymie, dzikie pasma górskie, iskrzący się, biały ząb południa, prawie teatralny (pomimo brzydkiej nazwy) widok potoku zwanego Pisse-vache, spadającego z wysokiej na kilkaset stóp i fantastycznie wygiętej skały, ponury wąwóz Gorges du Trieux i wiele innych cudów natury tak mię zajęły, że nie zauważyłem prawie dziwnych, wstrętnych postaci, jakie tu na każdym kroku na ulicy i w wagonie napotyka się. Dziwna bo rzecz, że przy tak pięknej naturze, krajowcy tutejsi są nadzwyczaj szpetni, szczególniej kobiety i potężna ilość kretynów, tych dziwadeł natury, złamanych, wykręconych z idiotycznym wyrazem twarzy, odbiera wszelką ochotę przyglądać się sąsiadom w wagonach. Niewiem na ile w tem prawdy, ale mówią, że w niektórych miejscach kantonu Wallis, potężny, nabrzmiały gardziel służy niejako za ozdobę u kobiet. W ogóle nigdzie w Szwajcaryi nie spotykałem przystojnych mężczyzn a jeszcze mniej kobiet. Takich twarzy jakie dadzą się spotkać we Francyi na każdym kroku, ożywionych, intelligentnych, pociągających, tu nigdzie się nie znajdzie; wszystko to szpetne, tępe, odpychające, złośliwe. Język miejscowy jak w niemieckiej, tak włoskiej i francuzkiej Szwajcaryi jakiś dziwny, przekręcony, nieznośny dla ucha. Długo mieszkałem w niemieckich kantonach Szwajcaryi, a i dotychczas bardzo mało rozumiem ich patois języka niemieckiego: *chlin* zamiast *klein*; *gzi* zamiast *gesehen*; *chind* zamiast *kind* i t. d., w tym rodzaju prawie każde słowo przekręcone; francuzkiego zaś patois nic a nic nie rozumiem, coś średniego pomiędzy francuzką a japońską mową.

Starałem się nie patrzeć wewnątrz wagonu, nie słuchać rozmowy i niepostrzeżenie przyjechałem do Saxonu, celu mojej wycieczki.

Nie potrzebowałem pytać o drogę, bo wszystko co wysiadło z 1-szej i 2-giej klassy ruszyło w jedną stronę, zrozumiałem że do rulety. Niezbyt pokaźny dom w stylu szwajcarskim otworzył gościnne podwoje przyjezdnym i znaleźliśmy się w przestronnej sali, środek której zajęty potężnym stołem przykrytym suknem zielonym, wzbudzał podejrzenie, że to sala gry. W oczekiwaniu widowiska wziąłem się do czytania różnorodnych obwieszczeń, rozwieszonych po ścianach. Dowiedziałem się, że dla wejścia trzeba mieć bilet wydany przez zarząd, ale można i niemieć go, dalej wyczytałem, że gra wzbroniona obywatelom kantonu, wyrobnikom, służącym i dzieciom, że gra trwa 12 godzin bez przerwy (tu wzięła mię litość nad graczami) i nakoniec cały szereg prawideł specyalnych dla gry, z których tylko zrozumiałem, że grający oszukują jeden drugiego bardzo często i że mocno bardzo się tem smuci. Nie skończyłem jeszcze mojego czytania, a już otwarto drzwi do przyległych sal i w ostatniej pojawili się fagasy z workami na plecach, które to worki zaczęto zaraz opróżniać, wysypywać z nich złoto, srebro, banknoty, potem liczyć, układać i gra się rozpoczęła. Nie upłynęło i kilku minut, a już obydwa stoły otwarte dla gry były otoczone dokoła przez graczów. Na jednym stole była ruleta, na drugiem gra kartowa, zwana trente et quarante. Nie chciało mi się rozpytywać o grę, ale niedługo zrozumiałem zupełnie i jedną i drugą. Nie więcej w nich mądrości jak w sztosie, lancusiu i innych grach furmańskich, chodzi tylko o większą stawkę.

Nie miałem cierpliwości długo patrzeć, wstrętny to widok tych starych kobiet, co chwila bledniących lub rumieniących się, wycieńczonych męzkich twarzy, na których ciągłe wzruszenie wybiło piętno gracza, bezmyślnych oczu bogatych starców, uśmiechających się do wygranej, typów dziwnie jednostajnych. Nie rozumiem mówiących, że widok gry hazardownej jest bogatem polem dla obserwacyi, monotonność i jednostajność najzupełniejsza, dosyć patrzeć jedną godzinę a więcej się nie zobaczy, choćby całe wieki spędzić na przyglądaniu się. Też same twarze, tą samą gorączkę widziałem nieraz na dalekiej północy i nie znajduję wielkiej różnicy. Zainteresowała mię tylko jakaś nie młoda pani. Grała grubo, po kilkadziesiąt napoleonów szło na stawkę. Przed nią leżało dużo złota i banknotów, jakich kilkanaście tysięcy. Wygrywała ciągle i choć władała sobą doskonale, widać jednak było z oczu, z zaczerwienionych trochę białków, z nerwowych drżeń w kątach ust jaka ją paliła gorączka. Chciało mi się zobaczyć, na czem się skończy jej gra, czy w razie przegranej nie zrzuci z siebie przyzwoitej maski obojętności, ale nie miałem cierpliwości. Parę dni potem spotkałem ją na ulicy, miała minę

bardzo kwaśną, musiała wszystko przegrać. Nie przeszło i godziny, a już jacyś dwaj jegomościowie pokłócili się o stawkę, jakiejś młodej pani czy pannie musiano podać zimnej wody i pomódz przejść do drugiego pokoju, zarząd musiał już wygrać kilka tysięcy franków; niewzruszeni kruperzy najspokojniej w świecie zgartywali pieniądze do swoich kass, znudziło mię to i wyszedłem przejść się po ogrodzie, zaszedłem do strzelnicy, gdzie choć zapłaciłem parę franków, ale spędziłem czas bardziej wesoło, probując pistoletów i karabinów.

Z pierwszym pociągiem ruszyłem napowrót. W wagonie vis a vis mnie siedział staruszek jakiś, którego widziałem wprzód grającym. Zamyślony i widocznie zmartwiony szeptał „trzynaście.... trzynaście... brakowało jednego numeru...“

W St. Maurice, na połowie drogi do mojego locum standi wysiadłem. Tam, stosownie do umowy, czekali na mnie moi znajomi i po obiedzie w wesołem usposobieniu ruszyliśmy wszyscy obejrzeć sławną grotę fei. O dobry kwadrans drogi od dworca, po za miasteczkiem, wdrapaliśmy się na górę, znać przed laty ufortyfikowaną, bo i teraz jeszcze pozostały gdzie niegdzie wieżyczki, wały i strzelnice forteczne. Jeszcze kwadrans drogi i zmęczeni jesteśmy u wejścia.

Ciemny najzupełniej korytarz, słabo oświecany latarką, niesioną przez przewodnika, ciągnie się bez końca. Sądzę, że kilka, albo kilkanaście wieków temu potężne wstrząśnienie skalistej góry musiało go uformować, bo najfantastyczniej pokrzywione ściany, wysokie lub zupełnie nizkie, utrudniające przejście sklepienia, wielka ilość stalaktytów i stalagmitów pozwalają domyślać się, że wprzód siła wulkaniczna, a potem siła wody przeciskającej i teraz z mnóstwa szpar i otworów, wspólnie trudniły się nad ukończeniem tej wspaniałej budowy. W niektórych miejscach sklepienie korytarza zaokrągla się i przedłuża w kształcie komina, w innych znow tworzy nowe korytarze niedostępne dla przejścia. Po kwandransie drogi słyszymy niby dzwony, zbliżamy się, a to woda kapie do blaszanki i echo rozlega się daleko w obie strony korytarza; na połowie drogi pokazują nam czaszkę ludzką, znalezioną tu przy odkryciu groty, to pozwala tworzyć różne domysły o zbiegu za czasów feodalnych, który mógł tu zabłądzić się i umrzeć z głodu lub coś podobnego; w takich razach fantazya buja dowoli i z łatwością tworzy różne przypuszczenia i obrazy.

Minęliśmy jeden korytarz, skręcający na lewo i pod nogami u nas szum potok, zalewający w niektórych miejscach cały korytarz. Stąpamy po wodzie. Korytarz prawie dwie wiorsty długi kończy się i przychodzimy do groty. Kilka desek przymocowanych wzdłuż ściany pozwalają nam wejść do samego wnętrza. Rzadko zdarzało się mi widzieć coś podobnie pięknego: grota w kształcie kaplicy, ze sklepienia spada potężny słup wody rozbijającej się u dołu w drobniutkie kropelki, cała przestrzeń groty niemi zapełniona, zamiast posadzki jezioro głębokie na kilkanaście stóp, łoskot i echo, latarnie od wody i ciągu gasną i my, na chwilę spłoszeni, zostajemy po ciemku; z jeziora wypływa potok, po którym doszliśmy do groty i w połowie korytarza ginie niewiadomo gdzie. Długo nie mogliśmy zdecydować się wyjść z groty i tylko obietnica przewodnika zaprowadzić nas drugim korytarzem do nowej groty poskutkowała nareszcie. Drugi korytarz rozszerzający się w jednem miejscu w piękną grotę kończy się w nieznanym miejscu, bo brak powietrza nie pozwala iść zbyt daleko. Z tego powodu również dwa inne korytarze są zupełnie nieuczęszczane.

Mieliśmy tak romantycznie usposobioną wyobraźnię, że zdawało się nam, iż pies przewodnika wzięty dla bezpieczeństwa, w razie jeżeliby latarki zagasły, a nie było ognia, wyprowadzić nas, ale przewodnik rozczarował nas, mówiąc że i bez psa nie zabłądziłby, bo zna doskonale przejścia.

Prawie dwie godziny byliśmy pod ziemią i ochłonęliśmy od marzeń dopiero po wyjściu. Wrażenie jakie zrobiła na nas grota było tak mocne, że straciliśmy już ochotę obejrzeć klasztor kapucynów, jak to wprzód planowaliśmy. A piękne to też miejsce: z drugiej strony miasteczko na zupełnie pionowej skale, jak się wydaje z dołu, o jakie kilkaset stóp od wierzchniego krańca skały i tyleż od ziemi, na tle skały uwidocznia się klasztor. Zdało by się, że to albo malowidło olbrzymiej wielkości; lub płaskorzeźba, bo żadnej ścieżki, coby do niego prowadziła, nie widać żeby ją zobaczyć, trzeba podejść do samego podnóża skały. Mieszka tam jeszcze kilkunastu starych mnichów, kapucynów, a ponieważ tu wszelkie klasztory zamykają, więc po ich śmierci, klasztor obrócony będzie chyba na więzienie i sądzę, że więzienie to będzie bardzo bezpieczne, bo niepodobna ztamtąd uciec, chyba na skrzydłach.

Mam szczery zamiar wrócić jeszcze do St. Maurice i obejrzeć ten przytułek pustelników, więc też kiedyindziej pomówię o nim rozleglej. *K. Rola.*

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(Dalszy ciąg).

Wybaczcie mi ten szczegół! Nie powinienem nic ukryć z cierpień jakich doznali rozbitki. Z mojego opowiadania niech każdy się dowie wiele to cierpień, moralnych i fizycznych człowiek przechodzić może. Wszystko opowiem, bo na nieszczęście przeczuwam że nie doszliśmy jeszcze do krańca naszych cierpień. Zrobiłem uwagę która potwierdza podejrzenia powzięte przeciwko gospodarzowi statku. Hobart pomimo tego że jęczał ciągle aż do przesady, nie przyjął udziału w poprzednio opisanej scenie. Słysząc go, zdawać by się mogło że kona z wycieńczenia, patrząc znów na niego widać że nic a nic głód mu nie dokucza. Ten fałszywiec musi mieć jakiś ukryty skład z ktorego czerpie. Szpieguję go ciągle ale żadnym sposobem złapać nie mogę.

Upał jest ciągle nie do wytrzymania, szczególniej jak wiatr ustaje. Porcye wody są niewystarczające, ale głód żabił w nas pragnienie. Kiedy więc przyjdzie mi na myśl że w razie braku wody możemy jeszcze więcej cierpieć, prosimy gorąco Boga, ażeby nas uchronił od tej nowej ostateczności. Na szczęście mamy jeszcze parę garncy wody w beczułce, która rozbiła się podczas burzy, druga zaś baryłka jest zupełnie nietknięta. Pomimo zmniejszenia się liczby osób na statku, kapitan uszczuplił porcyą wody na kwaterkę, w czem jak uważam ma najzupełniejszą racyę. Wódki pozostało nam jeszcze z pół garnca, schowano ją na tyle tratwy.

Dziś 7 stycznia o wpół do 8-ej wieczorem porucznik Walter umarł na moich rękach.

Starania panny Herbey i moje nic nie pomogły. Pozostało nas czternaście osób.

Na kilka chwil przed śmiercią, Walter dziękował pannie Herbey i mnie za opiekę jakąśmy nad nim rozciągali. I niedosłyszalnym prawie głosem rzekł upuszczając list trzymany w drżących rękach:

— Panie... ten list... to od mojej matki... brak mi sił... To ostatni list od niej... pisała do mnie: „czekam na ciebie moje dziecko, chciałabym się z tobą zobaczyć.“ Nie, matko ty już mnie nie ujrzysz więcej... Panie... ten list... połóż go na moich ustach... tutaj... tutaj... chcę umrzeć całując go... moja matko... moj Boże!...

Włożyłem w zimną już rękę Waltera list, i przykryłem nim usta umierającego. Na chwilę wzrok jego się ożywił i usłyszeliśmy słabe pocałowanie.

Dusza jego uleciała!.. Niech Bóg ją ma w swojej świętej opiece.

XLI.

8 stycznia. Całą noc czuwałem nad zwłokami, a p. Herbey modliła się za duszę umarłego.

Kiedy dzień już się ukazał ciało zupełnie ostygło. Spieszyłem się... tak jest spieszyłem się wrzucić je w morze. Prosiłem Roberta Kurtis ażeby mi dopomógł spełnić ten smutny obowiązek. Zawinięte ciało, w resztki podartego ubrania, wrzuciemy w wodę z której z pewnością nie wypłynie z powodu straszliwego wychudnięcia.

Jak tylko zaczęło świtać, Robert Kurtis i ja przejrzeliśmy kieszenie zmarłego i zachowaliśmy różne drobiazgi które ten co przeżyje odda biednej matce, bacząc przy tem ażeby kto z załogi nie spostrzegł. Kiedy poprawiałem ubranie mające służyć za całun nieboszczykowi, mimowolnie wyrwał mi się okrzyk zgrozy.

Brakowało prawej nogi, którą ktoś w nocy oberżnął. Któż mógł popełnić taką profanacyę! Widocznie podczas nocy, zmęczenie wzięło nademną górę, usnąłem i zbrodniarz skorzystał z tego.

Robert Kurtis spojrzał na około okropnym wzrokiem; na pokładzie jednak wszystko spokojne, ciszę przerywają tylko jęki zgłodniałych. Może nas szpiegują. Śpiesznie więc rzuć-

my szczątki w morze, ażeby uniknąć jeszcze okropniejszych scen. Zmówiwszy kilka modlitw, wrzuciliśmy trupa w morze, które natychmiast go pochłonęło.

— Do kroćset piorunów, tych rekinów to dobrze karmią! krzyknął za mną murzyn Jnxtrop. Bosman w tej chwili stanął obok mnie.

— Widziałeś pan, nogę mu odjęli, niegodziwce!

— Nogę... a tak!... Cóż robić? byli w prawie.

— Jakto w prawie!

— Mój panie, lepiej zjeść umarłego, jak żywego.

Nie wiedząc co odrzec na tę okrutną odpowiedź, uciekłem na tył statku.

Około jedenastej rano niesłychane szczęście nas spotkało. Bosman który w nocy zarzucił wędki, tym razem miał nadzwyczaj szczęśliwy połów. Wyciągnął trzy stokfisze, z których każdy miał po jakie pięć ćwierci łokcia długości.

Zaledwie zdążył wyciągnąć je na pokład, już majtkowie się na nie rzucili. Kapitan, Falsten i ja z trudnością ich powstrzymaliśmy, chcąc zaprowadzić w podziale porządek.

Trzy ryby na 14 osób to niewiele, każdy jednak dostał swoję cząstkę. Najwięcej z nas zjadło je na surowo, żywcem prawie. Kurtis, Andrzej i miss Herbey mieli cierpliwość zaczekać trochę. Zapalili ogień w kąciku tratwy i upiekli swoje porcyjki. Nie mogłem się zdobyć na podobną cierpliwość!

Pan Letourneur rzucił się jak wilk zgłodniały na swój kawałek ryby. Nie pojmuję jakim sposobem ten nieszczęśliwy człowiek wyżył dotąd, nie jedząc tak długo. Radość bosmana graniczy prawie z szaleństwem. Gdyby rybołóstwo podobnie udawało mu się dalej ocalelibyśmy od śmierci głodowej.

Zacząłem z nim gawędkę, zachęcając do nowych prób.

— Naturalnie, odpowiedział mi, zacznę, zacznę.

— Dla czegóż pan teraz nie chcesz zarzucić wędki?

— A — teraz nie można, najlepiej w nocy, wielkie ryby najłatwiej się wtedy łapią, a muszę oszczędzać przynęty, tembardziej, że postąpiliśmy tak głupio, nie schowawszy ani kawałka ryby.

— Rzeczywiście jest to błąd nie do naprawienia.

— A jednak teraz udało się panu złapać kilka ryb bez przynęty?

— Owszem, miałem...

— I dobrą?

— Widać doskonała kiedy na nią ryby biorą.

— Czy panu jeszcze co zostało?

— Tak.

Skromny ten posiłek, przywrócił nam trochę sił a z niemi i nadzieję. Rozmawiamy wesoło o rybołóstwie bosmana i nikomu przez myśl nawet nie przejdzie, ażeby na drugi raz równie się powieść nie miało. Widocznie losy stały się dla nas łaskawsze.

W umysłach naszych nastąpił przewrót; możemy mówić o przeszłości. Myśl przestała być przykutą do teraźniejszej chwili lub okropnej przyszłości, która nam zagraża. Falsten, Kurtis, Letournerowie i ja, przypomnieliśmy sobie straconych towarzyszy, szczegóły pożaru, zatonięcie statku, Ham-Rock, okropne wieszanie się na masztach, burzę, i wszystkie te wypadki zdają nam się być bardzo odległemi.

Tak wszystko to minęło a my żyjemy jeszcze. Żyjemy! Jeżeli to się nazywa życiem! Z dwudziestu ośmiu pozostało nas 14 osób, a wkrótce może będzie 13.

— Zła liczba, rzekł Letourneur, czternastego nie prędko byśmy się doczekali.

W nocy z 8-go na 9-ty bosman, na tyle tratwy znów zarzucił wędki, i sam czuwał nad niemi nie dowierzając nikomu.

Nad ranem przyszedłem do niego. Pałającemi oczami patrzył w głębinę wód, tak że mnie nie spostrzegł.

Wziąłem go lekko za ramię. Odwrócił się.

— I cóż bosmanie?

— Cóż przeklęte rekiny zjadły moję przynętę.

— A więcej już nie zostało nic?

— Nic, odrzekł, ściskając mię za rękę a czy wiesz pan czego to dowodzi? To dowodzi, że nigdy rzeczy w połowie robić nie należy.

Zatkałem mu ręką usta. Zrozumiałem!

Biedny Walter!

XLII.

Od 9-go do 10-go stycznia. Dziś znowu cisza zaległa na morzu. Słońce pali, i ani jednej nawet zmarszczki nie widać na jego falach. Jeżeli nie znajdujemy się na jakim prądzie unoszącym nas bezwiednie, to tratwa jest w zupełności nieruchomą.

Upał szalony. Pragnienie do niezniesienia. Brak wody daje nam się więcej czuć niżeli za pierwszym razem.

Przeczuwam, że sprawione przezeń cierpienia będą daleko większe od cierpień głodowych.

Wielu z nas ma usta, języki, i gardła zupełnie spieczone, błona śluzowa pęka prawie z suchości pod wpływem rozpalonego powietrza którem oddychamy. Na usilne prośby moje kapitan podwoił dziś porcye wydawanej nam wody. Tak więc cztery razy na dzień chłodzimy się odrobiną wody, która pomimo przykrycia płótnem zupełnie prawie ociepława. W ogóle mieliśmy dziś bardzo zły dzień. Majtkowie pod wpływem głodu przychodzą do rozpaczy.

Wiatr nie zerwał się pomimo wejścia księżyca prawie w pełni będącego. Noce jak zwykle między zwrotnikami są chłodne, w skutek czego doznajemy znacznej ulgi, za to w dzień temperatura stała się zupełnie nieznośną. Ciągły wzrost ciepła przekonywa nas, że tratwa została gdzieś bardzo daleko na południe rzuconą. Ziemi nikt z nas nawet nie wygląda, zapomnieliśmy prawie, że ona istnieje. Zdaje nam się, że kula ziemska zmieniła się w płynny glob. Wszędzie i zawsze ocean nieskończony! Dziesiątego taż sama temperatura. Ogień żywy leci na nas z nieba! Oddychamy powietrzem jak gdyby z pieca wychodzącem. Pragnienie zwyciężyło w nas głód i z wściekłością prawie oczekujemy chwili w której Robert Kurtis ma nam wydzielić po kilka kropel wody. Raz się napić do woli, chociażby umrzeć natychmiast! W tej chwili to jest w południe jeden z majtków dostał okropnych boleści, w skutek czego wrzeszczy przeraźliwie. Był to niegodziwy Owen, który leżąc na przodzie tratwy tarzał się w strasznych konwulsyach. Zawlokłem się do niego. Jakkolwiek źle postępował, uczucie ludzkości nakazuje go ratować, a przynajmniej ulżyć w cierpieniach. Nagle majtek Flaypol stojąc obok masztu z ręką na wschód zwróconą zawołał: Okręt! Zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi. Cisza, nikt słowa nie śmiał wymówić. Nawet Owen zaprzestawszy jęków zerwał się jak inni.

Rzeczywiście w stronie wskazanej przez Flaypola widać biały punkcik, ale czy ten punkt zmienia położenie, czyżby to był żagiel, co myślą o tem marynarze, których wzrok nigdy nie myli. Spojrzałem na Roberta Kurtis, który z założonemi na piersiach rękami spoglądał na zagadkowy punkt. Zdaje się, że całe życie zbiegło mu się w oczach, zmrużył powieki, zmarszczył czoło i zasłonił się ręką od blasku słońca, które go raziło. Jeżeli ten punkcik biały jest żaglem, Kurtis z pewnością się nie pomyli. Ale on spuścił głowę i ramiona mu opadły. Spojrzałem. Biały punkcik zniknął już. Nie był to okręt, raczej jakiś odbłysk słońca, wierzchołek bałwana zwodniczego, jeżeli zaś to był okręt w takim razie zniknął już z horyzontu. Po złudnej nadziei, jeszcze większa rozpacz nas ogarnęła. Każdy wrócił na swoje miejsce, tylko Robert Kurtis nie poruszył się wcale. Krzyki Owena znów się rozlegają. Ciało jego rzuca się w okropnych boleściach, tak, że prawdziwie strach bierze, patrzeć na niego. Gardło ściśnięte od kurczu spazmatycznego, język suchy, brzuch wzdęty, puls drobny i nieregularny. Nie ma najmniejszej wątpliwości że Owen otruł się koperwasem. Brak nam lekarstw mogących zneutralizować truciznę, koniecznie jednak należy wzbudzić wymioty, ażeby wyrzucił z żołądka szkodliwą materyę, do czego najłatwiej doprowadzi woda letnia. Poprosiłem o nią kapitana czego naturalnie mi nie odmówił. Ponieważ pierwsza beczułka jest już zupełnie wypróżniona, zbliżyłem się do drugiej nietkniętej. Owen jednak zobaczywszy, że zbliżam się do beczki, ukląkł wołając nie ludzkim głosem: nie! nie! nie! Dla czego: nie? Wróciłem do Owena tłómacząc mu co chcę zrobić. Jeszcze energiczniej odpowiedział mi, że nie chce pić tej wody. Łechocąc go więc po języczku wywołałem wymioty i wkrótce wyrzucił z siebie niebieskawy płyn. Przekonaliśmy się, że miałem racyą i że Owen w samej rzeczy otruł się koperwasem miedzianym. W tej chwili żaden ratunek nie może go ocalić.

Ale skąd dostał trucizny? Badaliśmy go wraz z kapitanem.

Któż opisze przerażenie z jakiem usłyszeliśmy jego zeznanie!

Dręczony pragnieniem, ukradł parę kwaterek wody z nietkniętej dotąd beczułki!

Ta woda była zatruta!

XLIII.

Od 11 do 14 stycznia. W nocy Owen umarł, wśród gwałtownych ataków mózgowych. Widocznie baryłka kiedyś zawierała koperwas. Nie pytamy się przez jaką fatalność napełniono ją wodą, dla czego zabraliśmy ją na tra-

twę, czemu w czasie burzy ta beczka raczej nie pękła, dość że nie mamy już wody!

Ciało Owena natychmiast rzucono w morze, albowiem uległo w jednej chwili rozkładowi, tak że bosman nie mógł zrobić z niego przynęty. Zbrodniarz ten nawet śmiercią swoją nam nie dopomógł. Każdy z nas wie doskonale w jakim jesteśmy położeniu, ale nikt nic nie mówi. Bo i o czem zresztą mówić? Oprócz tego dźwięk głosów ludzkich stał się dla nas nieznośnym. Staliśmy się tak rozdrażnieni że lepiej zupełnie z sobą nie rozmawiać, bo najmniejsze słowo, gest nawet, już doprowadza nas do wściekłości trudnej do powstrzymania.

Dwunastego stycznia nie dostaliśmy już więcej wody, ostatnią kroplę wyczerpaliśmy wczoraj. Na niebie nie ma ani jednej chmurki deszczowej, w cieniu jest do 40 stopni ciepła, a i tego cienia na tratwie tak mało.

Trzynastego położenie w niczem się nie zmieniło. Woda morska, żre mi nogi do żywego mięsa, na co zupełnie nie zwracamy uwagi, podobnież jak i wszyscy inni, którzy wcześniej odemnie doznali tej przykrości.

Ah! ta woda, która nas otacza ze wszystkich stron! Kiedy pomyślę o tem że zamieniając ją w parę lub zamrażając można by ją uczynić zdatną do picia! W postaci pary lub lodu nie miałaby już w sobie ani jednego atomu soli, i możnaby ją było pić. Próżne to jednak marzenia, nie mamy aparatów i zrobić ich nie możemy. Dziś rano narażając się na pożarcie przez rekinów, bosman i kilku majtków kąpało się w morzu, przez co doznali niezmiernej ulgi w pragnieniu. Pasażerowie wraz ze mną zaledwie trochę pływać umiejący, puściliśmy się na wodę przywiązani na linach, przez ten czas Robert Kurtis zwracał uwagę na wodę. Na szczęście jednak żaden rekin się nie zbliżył. Pomimo usilnych naszych próśb panna Herbey nie chciała iść za naszym przykładem.

Czternastego o jednastej rano, kapitan zbliżył się do mnie i rzekł cicho do ucha:

— Nie zdradź się pan, panie Kazallon, może być że się mylę, nie chcę narażać towarzyszów na nowe rozczarowania, tą razą jednak naprawdę zobaczyłem okręt...

Kapitan dobrze zrobił, uprzedziwszy mnie, bo nie byłbym panem pierwszego wzruszenia.

— Sporzyj pan, dodał, z tyłu po lewej stronie.

Powstałem i udając najzupełniejszą obojętność przebiegłem wzrokiem łuk poziomu wskazany mi przez Roberta Kurtis. Moje oczy nie są oczami marynarza, pomimo to jednak w ledwie dostrzegalnej sylwetce rozpoznałem okręt pod żaglem. W tejże samej chwili bosman którego wzrok przypadkiem w tę samą stronę był zwrócony krzyknął nagle: Okręt! Obecność statku nie sprawiła takiego wrażenia jakiegośmy się spodziewali. Czemu winno głównie: niewiara i wycieńczenie sił. Ale bosman nie ustawał krzyczeć: okręt! okręt! I wszystkie spojrzenia zwróciły się na morze.

Tą razą nie omyliliśmy się. Statek któregośmy się nie spodziewali nawet, dąży ku nam. Czy jednak nas ujrzy?

Majtkowie starają się rozpoznać rodzaj i kierunek statku szczególnej kierunek. Robert Kurtis przypatrzywszy się uważanie rzekł do mnie:

— Ten okręt jest to bryg płynący prawą stroną ku nam. Jeżeli przez dwie godziny jeszcze utrzyma się w tym samym kierunku, musi nam przeciąć drogę.

Dwie godziny! dwa wieki! a jednak kierunek statku w każdej chwili może się zmienić, tem bardziej że o ile się zdaje, lawirując, przeciwko wiatrowi podsunął się. Zakreśliwszy więc łuk dany, przechyli się na lewą stronę, i znów oddali od nas. Gdyby on szedł ku nam z wiatrem, moglibyśmy spodziewać się ratunku. Trzeba się starać ażeby bądź co bądź spostrzeżono nas z okrętu. Robert Kurtis rozkazał używać wszelkich sygnałów, albowiem bryg jest od nas odległy o jakie dwanaście mil, zatem nie mógłby usłyszyć naszego głosu. Nie mamy także broni palnej, której wystrzały mogłyby zwrócić uwagę. Należy więc przywiązać chorągiew na szczycie masztu. Czerwony szal miss Herbey najlepiej się do tego nadał, albowiem ten kolor doskonale się odbija na tle morza i nieba. Lekki wiatr powiewa nim napełniając serca nasze radością. Wiemy z jaką energią człowiek tonący chwyta każdy przedmiot który mu pod rękę podpadnie, szal ten był dla nas tym właśnie przedmiotem. Godzinę całą przebyliśmy w największej niecierpliwości. Bryg widocznie zbliżył się do tratwy, chwilami jednak zdaje się zatrzymywać jak gdyby miał zmieniać kierunek. Jakże ten okręt wlecze się powoli! A jednak ma wszystkie żagle rozpuszczone i pudło już prawie widać po nad horyzontem. Wiatr jednak słabnie ciągle a może ustanie zupełnie. Dalibyśmy rok życia, ażeby być starszemi o godzinę. Bosman i kapitan sądzą, że w tej chwili okręt jest tylko o 9 mil odległy od tratwy. Przez półtory więc godziny przebiegł zaledwie trzy mile. Może być więc że wiatr przelatujący po nad naszemi głowami, nie dochodzi do statku. Zdaje mi się nawet że żagle okrętu wiszą opuszczone przy masztach. Stanąłem obok panów Letourneur i miss Herbey i wzrok nasz kolejno bada i okręt zdala unoszący się na fali, i kapitana nieporuszonego na przodzie statku, obok którego stał bosman. Wzrok nasz na chwilę nawet nie odwrócił się od okrętu, i na twarzach które nie mogą utrzymać się w zupełnej spokojności, czytać możemy wrażenia jakich doznają. Żaden z nas nie wyrzekł ani jednego słowa dopóki Daulas nie wykrzyknął na głos:

Zawraca! Życie nasze zdawało się uciekać wraz z oddalającym się okrętem. Zerwaliśmy się. Z ust bosmana wypadło straszliwe przekleństwo. Okręt oddalony o dziewięć mil od nas nie mógł spostrzedz znaków któreśmy mu dawali. Tratwa dla niego w tej odległości była tylko punkcikiem zalanym falami promieni słonecznych. Nie mógł nas zobaczyć. Ktokolwiek byłby kapitanem tego statku, nie dopuściłby się tego rodzaju okrucieństwa, ażeby uciec bez dania nam ratunku.

Nie, to jest nieprawdopodobne; nie widział nas! Ognia! dymu! zawołał Kurtis. Spalmy wszystkie deski na tratwie będące. Jest to jedyny środek ażebyśmy byli spostrzeżeni.

Ułożyliśmy na przodzie sto desek, które z trudnością się zapaliły. Skutkiem jednak wilgoci masa dymu wzleciała prosto ku niebu. Gdyby noc zapadła przed zniknięciem okrętu, nawet z tak znacznej odległości możnaby dojrzeć łunę.

Godziny upływają; ogień zagasł...

W podobnych okolicznościach ażeby poddać się woli Bożej, trzeba mieć władzę nad sobą której już mi zabrakło. Tak jest; straciłem już wiarę w tego Boga, który nie dość że nas doświadcza tak okropnie ale jeszcze zdaje się naigrawać z nas przez ukazywanie widziadeł ocalenia. Zacząłem kląć i bluźnić jak bosman przed chwilą. Słaba ręka, wsparła się na mnie i miss Herbey ukazała mi niebo!

Nie, tego już zanadto! nie chcę nic więcej widzieć, ukryłem się pod żaglem; zapłakałem jak dziecko. Przez ten czas okręt zmieniwszy żagle oddalił się powoli ku wschodowi, a w trzy godziny potem najsilniejszy wzrok nie mógł go już odszukać na horyzoncie.

XLIV.

15 stycznia. Po tym ostatnim ciosie śmierć nam tylko pozostała. Ona nas z pewnością nie zawiedzie. Kilka chmur ukazało się na wschodzie, i lekki wietrzyk poruszył powietrzem. Temperatura stała się trochę znośniejszą i pomimo naszego osłabienia, ulegliśmy jej wpływowi. Gardło moje oddycha powietrzem mniej palącem, ale od czasu połowu bosmana t. j. od siedmiu dni nic nie jedliśmy. Na tratwie nic już nie ma. Wczoraj dałem Andrzejowi ostatni kawałek suchara, przechowany przez ojca, który mi z płaczem go oddał....

Od wczoraj murzyn Ynxtrop uwolnił się z więzów, Kurtis nie kazał mu ich na nowo założyć! Po co? Ten nędznik i jego wspólnicy są tak osłabieni przez brak pożywienia, że obawiać się ich nie ma potrzeby. Kilka wielkich rekinów ukazało się pod wodą, patrzymy z jaką wielką szybkością skrzydła ich przerzynają fale. Niestety! są to trumny żyjące, czyhające na pochłonięcie naszych nędznych szczątków. Nie przerażają mnie już, raczej przyciągają. Zbliżają się tak blisko do brzegów tratwy, że o mało jeden z tych potworów nie chłapnął ręki Flaypola, którą trzymał zwieszoną.

Bosman, z oczami szeroko rozwartemi, z zaciśniętemi zębami, patrzy na rekinów inszym niż ja wzrokiem. Chce ich poźreć, ale nie być pożartym przez nich. Gdyby mu się udało złowić jednego nie oszczędzałby jego ciała. Postanowił spróbować, ale ponieważ nie ma przynęty, stara się sobie ją sfabrykować. Robert Kurtis i Daulas podzielaj jego zdanie, naradzają się wspólnie, rzucając kawałki masztu lub liny tym żarłokom dla przytrzymania ich przy tratwie.

Daulas poszedł poszukać swego młotka ciesielskiego z którego myśli zrobić przynętę. Można przypuszczać że młotek ten uwięźnie w szczękach, za pomocą ostrzy, jeśli zwierz go chciał połknąć. Co do rączki młotka która jest drewniana, przymocowano ją do liny, którą znowu mocno przybito do słupa tratwy.

Żądze nasze są wzburzone do najwyższego stopnia przez te przygotowania. Wszystkiemi możliwemi środkami obudzamy uwagę rekinów, które już nie uciekają.

Wędka nakoniec gotowa, ale nie mamy nic na

przynętę. Bosman który chodzi wzdłuż tratwy, rozmawiając z samym sobą, zagląda, w każdy kąt jakby szukał trupa między nami.

Zmuszony jest użyć środka raz już probówanego, i żelazo młotka owiązać kawałem czerwonego szala miss Herbey.

Ale bosman boi się zanurzyć wędki przed przekonaniem się czy wszystkie ostrożności porobiono. Próbuje więc czy wędka jest dobrze przymocowana. Czy lina wytrzyma wstrząśnienia? Czy słupek jest dosyć mocny ażeby się im oprzeć? Bosman z wielką starannością bada te ważne szczegóły.

Nakoniec rzucono cały aparat w wodę.

Morze tak jest przezroczyste że można rozróżnić każdy przedmiot o 100 stóp pod powierzchnią. Widzimy więc zanętę, jak powoli spada w głębinę owinięta w czerwoną szmatę, której kolor jaskrawo odbija się na niebieskiem tle wody.

Pasażerowie i załoga, pochyleni przez poręcz patrzymy w najgłębszem milczeniu. Zdaje się jednak że rekiny, odkąd ofiarowano im ten smaczny kąsek znikły zupełnie. Z pewnością jednak nie oddaliły się i cokolwiek spadło by w morze, z pewnością w jednej chwili byłoby przez nich pożartem.

Nagle, bosman dał znak ręką. Ukazuje nam potworną masę, która wietrząc powierzchnią morza zbliża się do statku. To rekin długości ze 12 stóp, wysunął się z głębiny i płynie po stronie prawej tratwy.

Kiedy zwierz znajdował się zaledwie o cztery sążni od tratwy, bosman pociągnął zlekka za linę, ażeby naprowadzić przynętę na jego drogę, i nadał szmacie czerwonej lekki ruch, ażeby wyglądała jak żywy przedmiot.

Czuję że serce moje bije silnie, jak gdyby od tej próby życie moje zależało!

Rekin zbliża się, oczy błyszczą na powierzchni morza, i z pomiędzy otwartych szczęk widać, przy każdem odwróceniu się potwora bokiem do nas, podniebienie najeżone ostremi zębami.

Ktoś krzyknął na tratwie zapewne mimowolnie. Rekin zatrzymał się i zniknął w głębinie.

Bosman zerwał się blady z gniewu i rzekł:

— Zabiję pierwszego co się odezwie!

I znów zabrał się do roboty. Bądź co bądź bosman ma racyę.

Przynętę znów zanurzono; przez całe jednak pół godziny nie widać rekina; trzeba ją więc na jakie 20 sążni zapuścić. Zdaje się jednak że w tej głębokości woda wzrusza się niespokojnie, co dowodziłoby że rekiny są tak głęboko.

W samej rzeczy, wędka nagle została szarpniętą tak silnie że bosmanowi wyrwała linę z ręki; na szczęście przywiązano ją do tratwy i nie może nam uciec.

Rekin połknął przynętę i schwytał się.

— Na pomoc, chłopcy, na pomoc! zawołał bosman. Wszyscy pasażerowie i załoga rzuciliśmy się do liny. Nadzieja wzmacnia nam siły, pomimo to z trudnością ciągniemy, bo rekin szarpie się wściekle. Powoli jednak, górne warstwy wody zakipiały pod uderzeniami ogona i piersi potworu.

Nachyliwszy się zobaczyłem niezmierną masę wijącą się wśród zakrwawionych fal.

— Śmiało! śmiało! woła bosman.

Nareszcie wypłynęła głowa zwierzęcia, przez otwarte szczęki hak dostał się w głąb' gardła i uwiązł tak silnie, że nie mogą wyrwać go stamtąd żadne szamotania się. Daulas porwał za topór ażeby go dobić jak tylko zbliży się do tratwy.

W tejże chwili usłyszeliśmy trzask. Rekin zamknął gwałtownie szczęki, strzaskał niemi rękojeść haka i zniknął w głębinie.

Jęk rozpaczy wyrwał się każdemu z piersi. Bosman, Kurtis i Daulas, probowali jeszcze złapać którego rekina. Nie mają jednak ani haka ani narzędzi do zrobienia go, zarzucili stryczki, które jednak zsuwały się po gładkiej skórze psów morskich. Bosman nawet ażeby ich zwabić, zwiesił nogę po za tratwę, narażając ją na ucięcie zębami.

Bezowocnych prób zaprzestano nareszcie, i każdy poszedł na swoje miejsce oczekiwać śmierci, której niczem zażegnać nie możemy.

Na odchodnem usłyszałem jak bosman mówił do Kurtisa:

— Kapitanie, kiedy pociągniemy losy?

Kurtis nic nie odpowiedział, ale pytanie było postawione.

XLV.

16 stycznia. Leżymy rozciągnięci na żaglach. Załoga przepływającego okrętu, mogłaby sądzić że to cmentarz pływający.

Okropnie cierpię, nawet nie wiem czy mógłbym jeść przy zapaleniu jakie ogarnęło moje usta, język i gardło, pomimo to rzucamy wzajemnie na siebie dzikie spojrzenia.

Upał dziś jeszcze silniejszy, bo zdaje się że będzie burza. Gęsta para unosi się, ja zaś jestem przekonany że deszcz będzie padał naokoło byle nie na tratwę.

Patrzymy ku niebu a pan Letourneur wyciągnął ręce błagając o kroplę wody. Słuchałem czy grzmot w oddali nie zapowie nam zbliżania się burzy. Już jedenasta; chmury zasłoniły zupełnie słońce. Widocznie burza nie wybuchnie albowiem całe niebo jednostajnie pokryte chmurami.

— Deszcz! zawołał nagle Daulas.

I rzeczywiście o pół mili od tratwy widać na niebie równoległe pasy. Deszcz pada i na powierzchni oceanu błyszczą bańki wodne. Wiatr niesie chmurę ku nam aby tylko nie wyczerpała się zanim doleci do nas.

Bóg nareszcie zlitował się nad nami! Deszcz pada w wielkich kroplach jak zwykle w krótko trwałych ulewach. Spieszymy się zbierać wodę bo chmury już przecierać się zaczynają.

Kurtis ustawił rozbitą beczkę, na około zaś rozpostarliśmy żagle ażeby na większej powierzchni łapać wodę. Położyliśmy się wznak z otwartemi ustami. Woda zlewa mi twarz, usta i czuję jak wpływa mi do gardła! Co za rozkosz niewypowiedziana! Jak gdyby życie wpadało we mnie kroplami. Błona śluzowa pieści się pod dotknięciem ożywczem kropli. Oddycham zarówno jak i piję ten zbawczy napój, który przeradza całą moją istność.

Deszcz trwał 20 minut, poczem chmura rozeszła się. Powstaliśmy wszyscy lepsi! Tak lepsi! Ściskamy się za ręce, mówimy do siebie: zdaje się żeśmy już ocaleli! Bóg w miłosierdziu swojem zeszle nam inne chmury, a te przyniosą nam wodę, której nam tak długo brakowało! Zresztą nie straciliśmy wody spadającej na tratwę. Baryłka i żagle dużo jej złapały. Zachowamy więc ją troskliwie i po kropelce używać będziemy. W baryłce jest kilka garncy wody. Majtkowie wzięli się do wyciskania wody na żagle schwytanej.

— Zaczekajcie! zawołał Kurtis, trzeba zobaczyć czy to woda zdatna do picia. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Wszakże to woda deszczowa. Kurtis wycisnął w kubek blaszany trochę wody z żagla, skosztował i splunął. Z kolei i ja spróbowałem. Ależ to woda jeszcze słońsza od morskiej! Żagle tak długo wystawione na działanie bałwanów, nasiąkły solą, którą następnie woda deszczowa rozpuściła. Jestto nieszczęście nie do powetowania. Ale cóż to szkodzi! Odzyskaliśmy na nowo nadzieję. W baryłce jest kilka garncy wody, a zresztą kiedy dzisiaj deszcz padał, dla czego by jutro nie miał padać.

XLVI.

17 stycznia. Po zaspokojeniu pragnienia, naturalnem następstwem rzeczy że głód zawzięcie zaczął nam dokuczać. Czyż nie ma więc środka na ujęcie jednego z tych rekinów które krążą na około tratwy. Chyba rzucić się w morze i uderzyć na te potwory z nożem w ręku w ich własnym żywiole, jak to zwykli robić Indyanie łowiący perły. Kurtis chciał probować szczęścia, aleśmy go powstrzymali. Za wiele jest rekinów, byłoby to więc narazić się bezpotrzebnie na śmierć. Zauważyłem że łatwiej jest oszukać pragnienie niż głód. Kąpiel w morzu, w ostateczności zaś lizanie jakiegokolwiek metalu już sprawia pewną ulgę, brak materyi pożywnej niczem zastąpić się nie pozwoli. Zresztą woda może zawsze spaść z deszczem, można więc zawsze mieć nadzieję że się będzie piło, ale można zwątpić zupełnie, czy będzie się jadło.

Myśmy już doszli do tego, że jedni na drugich żałośnie spoglądamy. Łatwo pojąć na jakiej pochyłości były myśli nasze i do jakiej dzikości, doprowadzić może nędza umysły wciąż jedną myślą opanowane.

Niebo znów czyste po nad nami, wiatr na chwilę ożywił się, ale teraz żagle wiszą wzdłuż masztów. Przestaliśmy uważać wiatr za motor! Gdzie jest nasza tratwa?

W którą stronę Atlantyku prądy ją zagnały? Nie wiemy, głupstwem więc byłoby pragnąć ażeby wiatr dął od zachodu raczej, niż od południa.

Jednej tylko rzeczy pragniemy od wiatru, to jest ochłody dla naszych piersi, pragniemy ażeby przyniósł odrobinę pary wodnej co zdołałaby umniejszyć upał, którym słońce w zenicie będąc, pali nas jak płomieniem.

Wieczór już nadszedł, i noc będzie zupełnie ciemna aż do północy, to jest do chwili wejścia księżyca w ostatniej kwadrze będącego. Gwiazdy zamglone nie jaśnieją takim blaskiem wspaniałym, jak podczas innych nocy. Pod wpływem jakiegoś szaleństwa, pod wrażeniem głodu zwykle pod koniec dnia wzmagającego się, rozciągnąłem się na stosie żagli i zwiesiłem głowę po nad fale, wdychając w siebie świeżą wilgoć.

Z moich towarzyszów którzy leżą w zwykłych miejscach czy który znalazł spoczynek we śnie? Nie wiem. Może żaden. Mózg mój jest pełen widziadeł. Chorobliwa drzemka która nie była ani czuwaniem ani snem opanowała mnie zupełnie. Nie wiem przez jak długi czas pozostawałem pod wpływem tej zupełnej nicości. Przypominam sobie tylko że w pewnej chwili uwagę moję zwróciło dziwne uczucie.

Niewiem czy marzę, ale węch mój został uderzony zapachem którego z początku nie mogłem pokonać. Jest to jakiś zapach który dolatuje mnie z wiatrem. Nozdrza moje nadęły się, miałem ochotę zawołać: Co tak pachnie? Jakiś dziwny instynkt powstrzymał mię i w myśli szukałem nazwiska na określenie przedmiotu wydającego ten zapach. Kilka chwil upłynęło w ten sposób. Dotykalność jednak wrażenia dopomogła mi nareszcie do zdefiniowania rzeczy.

Ależ to zapach pieczonego mięsa! pomyślałem jak człowiek przypominający sobie rzecz od dawna nie widzianą. Zmysły moje nie mylą się, a jednak na tej tratwie..... Ukląkłem, znów wciągam w siebie, a raczej węszę powietrze. Ten sam zapach ciągle mnie dolatuje. Jestem pod wiatrem a zatem przedmiot który wydaje ten zapach zdaje się na przodzie tratwy.

Ruszyłem się z miejsca i pełzając jak zwierzę posuwałem się pod żaglami z kocią ostrożnością, ażeby nie obudzić uwagi którego z moich towarzyszów.

Przez kilka minut wietrzyłem w ten sposób po wszystkich kątach, powodując się jak wyżeł węchem.

Już tracę ślad, czy w skutek przycichnięcia wiatru, czy też z powodu mylnej drogi którą obrałem, kiedy znowu zapach silniej do mnie doleciał.

Nareszcie wpadłem na trop i czuję że zbliżam się do przedmiotu. Właśnie wtedy dopełznąłem do załamku po prawej stronie z przodu, i rozpoznaję że ten zapach mogła tylko wydać wędzona słonina. Nie mylę się. Wszystkie brodawki na moim języku nabrzmiały od żądzy!

Musiałem wtedy przesunąć się pod swojem płócienkiem. Nikt mnie nie widzi, ani też słyszy. Na czworakach pełznę powoli. Nareszcie wyciągnąłem rękę i ująłem przedmiot zawinięty w kawałek papieru. Szybko cofnąłem się, rozpatrując zdobycz przy świetle księżyca który zabłysnął na niebie.

To nie złudzenie. W ręku trzymam kawałek słoniny zaledwie ćwierć funta, ależ to wystarczy na zaspokojenie głodu przez cały dzień! Niosę go do ust...

Czyjaś ręka pochwyciła moję. Odwracam się, zaledwie powstrzymując się od wymysłów. Poznałem gospodarza okrętu Hobbarta.

Teraz wszystko wyjaśniło się, wyjątkowe położenie Hobbarta, jego stan zdrowia i skargi fałszywe. W czasie rozbicia statku, zdołał ocalić jakąś żywność, którą ukrył na zapas, zjadając sam podczas kiedy myśmy marli z głodu! Oh! nędznik!

Ale nie! Hobbart postąpił rozsądnie. Widzę że to jest człowiek rozumny, oszczędny, a że schował w sekrecie przed wszystkiemi jakiś kawałek słoniny, tem lepiej dla niego i dla mnie także. Widocznie jednak różnimy się w zdaniach. Porwał mnie za rękę i chce odebrać słoninę, nic jednak nie mówiąc, ażeby nie zwrócić uwagi reszty ludzi.

Mnie także własny interes nakazuje milczeć. Nie trzeba żeby inni spostrzegli się. Z pewnością by i mnie i jemu odebrali. W cichości więc walczymy z sobą; wściekłość zaś moja podwoiła się kiedy usłyszałem jak Hobbart mruczał przez zęby: mój ostatni kąsek! Jego ostatni kąsek! więc bądź co bądź muszę go mieć. Pochwyciłem za gardło mojego przeciwnika który zaczął chrapać pod uściskiem mojej ręki i wkrótce przestał się poruszać.

Ja zaś przytrzymując go kolanami na ziemi, zjadłem cały kawałek słoniny.

Potem puściłem Hobbarta i znów pełzając dowlokłem się do swego miejsca na tyle tratwy. Nikt mnie nie widział. Jadłem!

XLVII.

18-go stycznia. W dziwnym niepokoju oczekiwałem dnia. Co powie Hobbart? Zdaje się że nie ma prawa mnie zaskarżyć! Nie, to głupstwo. Gdybym opowiedział wszystko jak się stało, gdyby dowiedziano się że on w najlepsze sobie zajadał, podczas kiedyśmy marli z głodu, to nareszcie bez litości by go zamordowano....

W każdym razie chciałbym ażeby się już rozwidniło.

Głód w jednej chwili opuścił mię zupełnie, chociaż ten kawałek słoniny, ten ostatni kęsek jak go nazwał Hobbart, był taki maleńki! Pomimo to przestałem cierpieć, przyznaję się do tego z głębi serca że sumienie gryźć mię zaczęło. Dla czego nie podzieliłem się z mojemi towarzyszami? Powinienem był pamiętać o miss Herbey, Andrzeju, p. Letourneur... a ja myślałem tylko o sobie! Nakoniec zaczynało dnieć. Za chwilę dzień zupełnie zajaśnieje, albowiem w tych szerokościach nie ma prawie zaranku i zmierzchu. Nie mogłem usnąć. Przy pierwszym brzasku jutrzenki ujrzałem jakąś bryłę bezkształtną kołyszącą się w połowie masztu.

Cóż to za przedmiot? Nie mogąc go rozróżnić leżałem sobie dalej na stosie żagli. Zaledwie słońce zabłysło, rozpoznałem ciało wisielca, kołyszące się z wiatrem.

Dziwne jakieś przeczucie zerwało mnie z miejsca i przybiegłem do stóp masztu. Ten wisielec to Hobbart!

Nieszczęśliwy! i to ja! tak ja! popchnąłem go do samobójstwa! Okrzyk zgrozy wyrwał się z moich piersi. Towarzysze podnieśli się, ujrzeli ciało i rzucili się ku niemu. Jednak nie dla tego ażeby ratować tlejącą w nim może dotąd iskierkę życia.....

Zresztą Hobbart już dawno nie żyje, ciało jego ostygło zupełnie.

W jednej chwili urżnięto postronek. Bosman, Daulas, Inxtrop, Falsten i inni rzucili się na trupa...

Nie! nie widziałem tego! Nie mogłem patrzeć. Nie przyjąłem udziału w tej wstrętnej uczcie! Ani miss Herbey, ani Letourneurowie nie chcieli opłacić podobną ohydą ulgi chwilowej bodaj.

Co do Kurtisa, nie wiem... Nie śmiałem się zapytać... Inni zaś! o! człowiek staje się niekiedy zwierzęciem drapieżnem... to okropność!

Ukryłem się pod namiotem nie chcąc widzieć! Dosyć było dla nas żeśmy słyszeli!

Andrzej Letourneur chciał się rzucić na tych kannibalów, ażeby wydrzeć te okropne szczątki! Musiałem użyć całej siły ażeby go powstrzymać.

A jednak oni byli w prawie, ci nieszczęśliwi. Hobart umarł! wszak oni nie zabili go! Czyż bosman nie powiedział kiedyś, że lepiej zjeść umarłego niżeli żywego!

Kto wie zresztą czy ta scena nie będzie prologiem do straszliwego dramatu mającego zakrwawić tratwę.

Pomimo przedstawień jakie zrobiłem Andrzejowi, nie mogłem przytłumić uczucia zgrozy, które w nim wzrosło aż do oburzenia.

Pomyśleć jednak o tem: my umrzemy z głodu a ośmiu towarzyszów unikną zapewne tej śmierci.

Hobbart dzięki zapasom jakie trzymał w ukryciu, najlepiej się trzymał z nas wszystkich.

Organizm jego nie wycieńczony głodem zachował całą jędrność tkanin. W pełnem zdrowiu, gwałtowną śmiercią przestał żyć.

W tej chwili jeden z nich podniósł głos. To cieśla Daulas. Radzi ażeby wyparować na słońcu wodę morską i zebrać sól.

— A resztę zasolimy, zakończył.

Naturalnie, odpowiedział bosman. I po wszystkiem, bez wątpienia przyjęto propozycyą cieśli, bez dyskusyi. Cisza zaległa na tratwie, widać że majtkowie usnęli.

Już nie są głodni.

XLVIII.

19 stycznia. Przez cały dzień dzisiejszy, taż sama temperatura, toż samo cicho. Noc nie przynosi żadnej zmiany w stanie powietrza. Nie mogłem prawie zupełnie spać. Nad ranem, usłyszałem gniewne okrzyki rozlegające się na pokładzie.

Panowie Letourneur, Miss Herbey, wstali także. Odsunąłem namiot ażeby zobaczyć co zaszło.

Bosman, Daulas i załoga są w najokropniejszej rozpaczy. Robert Kurtis dotąd siedzący na tyle tratwy dowiedziawszy się czemu unoszą się takim gniewem, chce ich uspokoić.

— Nie! nie! rzekł Daulas rzucając na około siebie wściekłym wzrokiem, musimy dowiedzieć się, kto to zrobił.

— A tak! jest tu jakiś złodziej, wszystko zniknęło, dodał bosman.

— To nie ja. Ani ja, usprawiedliwia się każdy z majtków z kolei.

Widzę biedaków jak trzęsą po wszystkich kątach, podnoszą żagle, przestawiają ławki; gniew ich rośnie w miarę przekonania się o bezowocności poszukiwań.

Bosman podszedł do mnie.

— Pan musisz znać złodzieja, rzekł.

— Nie wiem co pan przez to rozumiesz. Daulas i majtkowie zbliżyli się.

— Przeszukaliśmy całą tratwę, jeszcze tylko został namiot do zrewidowania.

— stąd nikt ani na chwilę nie wyszedł.

— Zobaczymy.

— Nie! zostawcie w spokoju tych co umierają z głodu.

— Panie Kazallon, rzekł powstrzymując się bosman, my nieoskarżamy pana. Jeżeli kto z was wziął część której nie chciał wziąć wczoraj, miał do tego prawo. Ale wszystko zniknęło, rozumiesz mnie pan, wszystko.

— Poszukajmy krzyknął Saudon.

Majtkowie zbliżyli się. Nie mogłem opierać się tym biedakom zaślepionym przez głód. Strach okropny przejął mnie.

Może pan Letourneur, nie dla siebie, ale dla syna... posunął się aż do... Jeśli to zrobił, ci szaleńcy rozedrą go w kawałki.

Spojrzałem na Kurtisa, jakby błagając go o pomoc. Stanął obok mnie, z rękami w kieszeniach, w których zwykle nosi broń.

Na usilne jednak żądanie—bosman, miss Herbey i Letournierowie wyszli z namiotu, który pszetrząśnięto w najmniejszych kącikach, na szczęście jednak, napróżno.

Widocznie szczątki Hobbarta wrzucono w morze, na tratwie ich ani śladu. Któż to jednak zrobił? Spojrzałem na miss Herbey i pana Letournieur, wzrokiem odpowiadającym mi, że nie oni. Zwróciłem oczy na Andrzeja, ten odwrócił natychmiast głowę.

Nieszczęśliwy młodzieniec! Więc to on? Czy pojmuje następstwa swojego czynu?

XLIX.

Od 20 do 22 stycznia. Przez następne dni, wszyscy którzy przyjęli udział w obrzydłej uczcie z 18 stycznia, mniej cierpieli, jako lepiej odżywieni chwilowo.

Ale miss Herbey, Letournierowie i ja! Czyż będę w stanie opisać to czego doświadczamy! Żałujemy prawie, że te szczątki zniknęły. Jeżeli jeden z nas umrze, z pewnością nie oparłbym się teraz.

Bosman, Daulus i inni jak tylko głód zaczął im dokuczać na nowo, patrzą na nas błędnemi oczami. Czyż mielibyśmy być dla nich pewną ofiarą?

Daleko więcej cierpimy od pragnienia, niżeli od głodu. Tak! żaden z nas nie wahałby się ani na chwilę pomiędzy szklanką wody i kawałkiem chleba. Wszyscy rozbitki pisali o tem i jest to najzupełniejszą prawdą. Od pragnienia więcej się cierpi niż od głodu i prędzej się też umiera.

I co za męczarnia, widzieć na około siebie te wodę morską, która na spojrzenie niczem się nie różni od wody słodkiej. Wieleż to razy probowałem wypić jej kilka kropli, ale wywołuje wymioty nieznośne, i wzmacnia na długo pragnienie.

Dosyć już tego! Otóż 42 dni jak opuściliśmy okręt! Czyż można się jeszcze łudzić nadzieją? Jesteśmy skazani na to, ażeby jeden po drugim umarł, najgorszą ze śmierci. Czuję, że na mózg mój padła jak gdyby ciężka zasłona. Jest to jakiś rodzaj obłąkania, które zaczyna mnie ogarniać. To obłąkanie przeraża mnie! Jak daleko ono dojdzie? Czy odzyskam kiedy wraz z siłami i rozum?...

Przyszedłem do siebie, nie wiem po wielu godzinach. Na czole mam kompresy napojone wodą morską które mis Herbey ciągle zmienia. Czuję, że wkrótce umrę.

Dnia 22-go okropna scena. Murzun Ynxtrop nagle zwaryował i zaczął przebiegać po tratwie wydając z piersi jakiś rodzaj wycia. Robert Kurtis napróżno stara się powstrzymać go! Rzuca się ażeby nas pozreć! Trzeba się bronić przeciw napaściom tego drapieżnego zwierzęcia. Ynxtrop wywija kawałem lewaru, od którego uderzeń trudno się uchronić.

Nagle, przez zwrot niespodziany, jak zwykle w atakach mózgowych, wściekłość jego zwróciła się przeciw niemu samemu.

Rozdziera się zębami, paznogciami i rzuca nam krwią w twarz wołając: Pijcie! pijcie! — Przez kilka minut wił się w ten sposób zbliżając ciągle ku przodowi tratwy i wołając: Pijcie! pijcie! Raptem wskoczył w morze.

Bosman, Falsten i Daulus, rzucili się na przód tratwy, aby pochwycić ciało, na morzu jednak widać już było tylko krwawą plamę, w pośród której potworne rekiny wydzierały sobie wzajemnie okropną pastwę.

L.

22 i 23 stycz. Pozostało nas jednaście osób na statku, i zdaje mi się nie możliwem ażeby teraz codzień liczba nie miała się zmniejszać. Koniec dramatu, jakikolwiek ma być, zbliża się. Za ośm dni, albo przybijemy do lądu, albo okręt ocali rozbitków.

W przeciwnym razie, nie pozostanie z nas ani jeden przy życiu.

23. Niebo zmieniło się. Wiatr silnie dmie od północo-wschodu. Żagiel nadęty silnie, a wyraźny ślad pozostaje za tratwą widocznie posuwającą się. Kapitan powiada że przebiegamy 3 mile na godzinę.

Robert Kurtis i Falsten najlepiej z nas trzymają się. Pomimo niezrównanej chudości, znoszą do zadziwienia mężnie niedostatek. Co się zrobiło z miss Herbey, trudno powiedzieć. Pozostała już tylko dusza, ale silna jeszcze, życie zaś całe zbiegło się w oczach błyszczących silnie. Ona już należy do nieba, ale nie do ziemi.

Ale jeden z najenergiczniejszych, ludzi jakich znałem, bosman, jest złamany! Poznać go niepodobna. Nie poruszony siedzi w jednym z kątów tratwy, nie wznosi głowy, długie ręce kościste wiszą mu niedbale, a jabłka kolan przecierają zużyte spodnie.

Ten znów żyje wyłącznie w ciele, i doszedł już do tego stopnia nieruchomości, że częstokroć myślę iż już zasnął.

Na tratwie cisza zupeła. Jęki, słowa, krzyki, wszystko się przerwało. Na dzień wszyscy razem 10 słów nie przemawiamy. Zresztą w skutek wyschnięcia języka i podniebienia, mowa nasze stała się zupełnie niezrozumiałą. Na tratwie są tylko widziadła, larwy nie mające w sobie nic ludzkiego.

LI.

24 stycznia. Gdzie jesteśmy? W którą okolicę Atlantyku tratwa została zapędzoną. Pytałem o to Kurtisa, ale odpowiedział mi niewyraźnie. Sądzi jednak że zbliżamy się ku ziemi, a to podług notatek, w których zapisywał ciągle kierunek wiatru. Dziś cisza zupełna, na morzu jednak silna fala, dowodząca że gdzieś na wschodzie była zapewnie burza. Tratwa psuć się zaczyna. Kurtis, Falsten, cieśla starają się o ile im sił pozostało utrzymać w spojeniu rozpadające się cząstki. Po co się tem trudnią? Niech się rozpadną te deski. Niech nas Ocean już pochłonie. Po co walczyć z nim o to nędzne życie!

Męczarnie nasze dobiegły najwyższego kresu jaki człowiek wytrzymać może. Dalej już nie posuną się. Upał okropny, niebo leje na nas roztropiony ołów.

Pot zlewa nas tak że łachmany są zupełnie na nas mokre, pragnienie wzmaga się od tego. Nie—już nie mogę opisywać więcej tego co czuję! Kiedy chcę określić wszystko co cierpimy—słów mi brakuje.

Ostatni środek ochłodzenia się którego używaliśmy, został nam teraz zupełnie wzbronionym. Ani myśleć nawet o kąpieli, od czasu śmierci Ynxtropa—rekinów całe stada krążą naokoło tratwy.

Probowałem dziś dostać trochę wody przez parowanie nad ogniem, ale pomimo całej cierpliwości, doszedłem tylko do zwilżenia szmatki płóciennej, przyczem kubek blaszany, zniszczony poprzednio roztopił się do reszty, musiałem zaniechać całej roboty.

Falsten także upadł zupełnie na siłach, przeżyję nas zaledwie o parę dni.

Chociaż podnoszę głowę nie mogę go zobaczyć: Czy się położył pod żaglami, a może już umarł. Jeden tylko Kurtis stoi na przodzie tratwy i patrzy!.... Nie mogę sobie wyobrazić jakim sposobem ten człowiek może spodziewać się jeszcze?... Poszedłem na tył tratwy. Tutaj będę oczekiwał śmierci. Im prędzej tem lepiej. Nie wiem ile godzin upłynęło...

Nagle usłyszałem wybuch wesołego śmiechu. Pewno znów który zwaryował.

Łąka, Łąka! drzewa zielone! karczemka pod drzewami! Prędko! prędko! proszę wódki! mięsa i wody po dukacie kropla! Zapłacę bo mam złoto, mam! mam!

Biedny marzycielu! Za wszystko złoto banku, nie dostałbyś teraz kropli wody.

Flaypol, który dostał obłędu, woła:

Ziemia, ziemia tam jest!

Słowa te mogłyby zgalwanizować umarłego. Zrobiłem bolesne wysilenie i wstałem. Nie ma ziemi nigdzie! Flaypol chodzi sobie po tratwie i smieje się. Śpiewa i robi jakieś sygnały ku wymarzonemu lądowi.

Wrażenie słuchu, widzenia i smaku odbijają się u niego za pomocą ataku mózgowego zupełnie jak gdyby w rzeczywistości istniały. Rozmawia z nieobecnymi przyjaciołmi. Zaprasza ich do oberży w Cardiff, pod godłem Jerzego. Tam częstują się jałowcówką, wódką i wódą, szczególniej wodą która ich upaja! Widzę go jak się zatacza, chwieje, wyśpiewując pijanym głosem. Zdaje się być w najwyższym stopniu upojonym. Pod wpływem obłędu przestał cierpieć, głód i pragnienie straciły nad nim władzę. Jakżebym chciał wpaść w podobne jasnowidzenie,

Czyż biedak ma skończyć na rzuceniu się w morze jak Ynxtrop? Zapewne Falsten, bosman i Daulus pomyśleli, że gdyby Flaypol chciał się zabić, nie pozwolą na to „zwłasną szkodą“ Wszyscy pozostali idą za nim śledząc każde poruszenie, Jeżeli Falsten chce wpaść w morze, nie dadzą go zjeść rekinom.

Nie stało się tak jednakże. W jasnowidze-

niu mojem Flaypol doszedł do tego stopnia pijaństwa, że jak gdyby pod wpływem odurzenia spirytualnemi napojami, upadł jak długi na pokład i usnął snem twardym.

LII.

25 stycznia. Noc z 24-go na 25 była mglista i gorętsza. Ta mgła dusi mnie. Zdaje się że jedna zapałka wznieciłaby pożar w powietrzu, w materyale palnym. Tratwa stoi w miejscu, nie ulegając żadnemu ruchowi. Pytamy niekiedy samych siebie, czy ona płynie dotąd.

W nocy c ciałem policzyć wielu nas pozostało na pokładzie. Zdaje mi się że jedenastu, nie mogę jednak zebrać mysli ażeby dorachować się tej liczby. Raz doszedłem do 10 to znów do 12, a jednak po śmierci Ynxtropa powinno być 11. Jutro będzie 10, bo ja umrę do jutra.

Czuję że zbliżam się do końca cierpień, bo całe życie maluje mi się we wspomnieniach. Kraj, przyjaciół, rodzinę, ujrzałem raz jeszcze w marzeniu.

Nad ranem obudziłem się, jeżeli tylko można nazwać snem chorobliwe unicestwienie w jakiem byłem pogrążony. Boże przebacz mi ale chcę już raz skończyć z tem wszystkiem.

Myśl ta wpiła się w mój mózg. Czuję jakąś ulgę, mówiąc sobie, że skończę jak tylko zechcę.

Powiedziałem o moim zamiarze Kurtisowi, z najzupełniejszą spokojnością umysłu. Kapitan kiwnął głową potakująco. Ja nie zabiję się, rzekł. Byłoby to ucieczką z placu boju. Jeżeli śmierć nie zabierze mnie wcześniej niżeli moich towarzyszów, pozostanę na tratwie do ostatka.

Mgła ciągle w powietrzu. Płyniemy wsród szarej atmosfery. Nie widać nawet powierzchni wody. Po nad Oceanem unoszą się chmury zasłaniające słońce.

Około 7-mej, zdawało mi się że słyszę krzyk ptaków nad głową. Kurtis chciwie ich słuchał.

Krzyk powtórzył się trzy razy. Za ostatnim razem zbliżyłem się i słyszę Kapitana szepcącego

„Ptaki! Więc ziemia jest gdzieś blizko nas“ więc Kurtis jeszcze wierzy że ziemia egzystuje? Ja przestałem w to wierzyć. Już nie ma lądów ani wysp. Kula ziemska jest tylko płynną sferoidą, jak w drugiej formacyi.

Pomimo to oczekiwałem z niecierpliwością na wzniesienie się mgły. Nie dla tego żebym miał łudzić się myślą ujrzenia ziemi, ale gniewa mnie to że jakaś nadzieja szalona dokucza mi, i chciałbym się jej pozbyć.

Dopiero około 11-tej mgła zaczęła ustępować. Przez jej szerokie płaty widzę lazur niebios. Żywe promienie słońca kłują nas jak rozpalone żelazo. Niższe warstwy mgły trzymają się jeszcze, zasłaniając zupełnie widnokrąg.

Przez całe półgodziny mgły nas jeszcze otaczały, z trudnością opadając, bo wiatr zupełnie ustał.

Nareszcie słońce w całym błasku, oczyściło powierzchnię Oceanu, i rozjaśniło szeroką przestrzeń. Poziom ukazał się.

I dziś, jak od sześciu tygodni stanowi on linię ciągłą i kulistą, na której zlewa się niebo i woda.

Robert Kurtis obejrzał się w około, nic nie mówiąc: Ah! jego żałuję szczerze, bo z nas wszystkich jemu tylko nie wolno skończyć kiedy zechce. Ja umrę jutro, i jeżeli śmierć nie przyjdzie do mnie, to ja pójdę naprzeciw niej.

Co do towarzyszów, nie wiem czy jeszcze żyją, bo od wielu już dni nie widziałem się z niemi.

Noc zapadła. Nie mogłem usnąć ani na chwilę. Około drugiej pragnienie sprawiło mi tak okropne boleści że nie mogłem wstrzymać się od krzyku. Jakto! więc przed śmiercią nie mam sobie pozwolić ostatniej rozkoszy, ugasić żar co pali piersi?

Tak! Napiję się krwi mojej, w braku krwi cudzej? Wiem że to nie doprowadzi do niczego, ale przynajmniej na chwilę uspokoję boleści.

Zaledwie myśl ta przebiegła mój umysł, już ją spełniłem. Otworzyłem scyzoryk; obnażyłem ramie i silnym pociągnięciem przeciąłem sobie żyłę. Krew spływa po kropli, i gaszę w tym środku życia pragnienie.

Krew wraca we mnie i na chwilę uspakaja męczarnie; potem zatrzymała się, nie mając już siły płynąć.

Jakże trudno doczekać do jutra!

Równo ze dniem, gęsta mgła znów zacieniła okręg którego środkiem jest tratwa. Mgła pali jak kłęby ciepła buchające z ogniska.

Dziś jest ostatni dzień mojego życia. Zanim umrę chciałbym uściskać dłoń przyjaciela. Kurtis jest blisko. Zawlokłem się do niego i wziąłem za rękę.

Zrozumiał mnie, wie że to jest pożegnanie, i zdaje się że przez ostatnią iskierkę nadziei chce mnie powstrzymać.

Szkoda czasu. Chciałbym ale nie śmiem zobaczyć się jeszcze z Letourneurami i z miss Herbey! Ta dziewczyna odgadłaby postanowienie z oczów moich! Mówiłaby o Bogu! o drugiem życiu które mnie czeka! Czeka, kiedy już nie mam odwagi! Boże mój racz przebaczyć biednemu!

Powróciłem na tył tratwy i po długich wysileniach stanąłem przy maszcie. Ostatni raz przebiegłem wzrokiem to nielitościwe morze, ten horyzont wiecznie jednostajny!

Gdybym teraz ujrzał ziemię lub żagiel nad falami, sądziłbym że jestem igraszką złudzenia.

Morze puste!

Już 10-ta rano. Czas skończyć. Kurcze głodowe, kolki z pragnienia wzmogły się tak że rozdzierają mi wnętrzności.

Instynkt zachowawczy zgasł we mnie. Za chwilę skończę... Boże mój! miej litość nademną!

Ktoś zaczyna mówić, poznaję głos Daulasa. Cieśla jest obok Kurtisa.

— „Kapitanie, zapytał, trzeba rzucić losy.“

Miałem już skoczyć w morze, ale wstrzymałem się. Dla czego? nie wiem, ale powróciłem na tył tratwy.

LIII.

16 stycznia. Projekt zrobiony. Wszyscy go słyszeli, wszyscy go zrozumieli. Od kilku dni myśl ta stale nas zajmowała ale nikt nie śmiał z nią się odezwać: Będziemy ciągnęli losy i podzielimy się tym czyje nazwisko wyjdzie na końcu.

A więc niech i tak będzie. Jeżeli los mnie wskaże wcale się na to żalić nie będę. Zdaje mi się że proponowano wyłączenie panny Herbey przez Andrzeja Letourneur. Jest nas jedenastu na pokładzie, każdy więc ma za sobą 10 szans a jednę przeciw sobie. Zaproponowane wyłączenie zmieniło by cały ten stosunek. Miss Herbey podzieli nasz los. Było już w pół do jedenastej; bosman którego ożywiła propozycya Daulasa, nalega ażeby ciągnienie w tej chwili zrobić. Ma najzupełniejszą racyę, zresztą żadnemu z nas nie idzie o życie. Ten kogo los wskaże przeżyje o kilka dni a może o parę godzin swoich towarzyszów. Wiemy to doskonale i dla tego nikt nie lęka się umrzeć. Bądź co bądź jednak na dzień lub dwa pozbędzie się głodu i pragnienia. Nie wiem kto, ale zdaje się że Falsten wypisał nazwiska na ćwiartkach wyciętych z karneta. Jedenaście imion rzucono. Umówiono się bez żadnych sporów że ostatnie wyciągnięte będzie ofiarą.

— Kto będzie wywoływał nazwiska? Wszyscy się zawahali.

— Ja! zawołał pan Letourneur.

Człowiek ten blady, wychudły, z siwemi włosami spadającemi aż na ramiona, przeraża mnie swoim spokojem.

Ach nieszczęśliwy ojcze! rozumiem cię. Wiem dla czego chcesz ciągnąć losy! Twoje poświęcenie ojcowskie posuniesz do tego stopnia!

Pan Letourneur włożył rękę w kapelusz wyjął bilet, rozwinął go i donośnym głosem przeczytał nazwisko napisane na kartce, oddając ją następnie wymienionemu.

Pierwsze imie wymienione Burkego, który wydał okrzyk radości, drugi Flajpol, trzeci bosman, czwarty Falsten, piąty Robert Kurtis, szósty Sandon, połowa imion już wywołana; moje dotychczas nie wyszło, pozostało mi więc cztery szanse dobre a jedna zła. Odkąd Burke krzyknął nikt z nas nie wymówił ani słowa. Pan Letourneur ciągnie dalej swoją okropną misyę. Siódme imie miss Herbey, która nawet nie drgnęła. Ósme imie moje, tak! moje. Dziewiąte Letourneur. d. n.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 (22) Апрѣля 1876 г. W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy)

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.